

Dorota Sobolewska-Bielecka

Na saksy do Włoch

Części I

Pod słońcem Italii

Wyprawa na pomidory

Zbliżał się mój pierwszy wyjazd do Włoch. Mimo, iż najbliższy miesiąc miałam spędzić ciężko pracując fizycznie, to do torby podróżnej po brzegi wypełnionej konserwami, zupkami chińskimi i innym suchym prowiantem, dorzuciłam jeszcze rozmówki polsko-włoskie i strój kąpielowy.

Moja kuzynka Halina, która była już we Włoszech kilka razy dawała mi ostatnie rady przed wyjazdem:

- Pamiętaj, nie ubieraj się zbyt wyzywająco, gdy zechcesz wyjść na miasto, bo ci Włosi nie dadzą ci spokoju ostrzegają.

Wiele razy słyszałam jej historię, jak to ubrawszy się w krótką spódniczkę pojechała do Foggi w towarzystwie sześciu polskich kolegów, a i tak zewsząd towarzyszyły jej gwizdy i cmoknięcia napalonych Włochów. Zabrałam więc mało atrakcyjną odzież, długie po kostki spódnice, luźne spodnie oraz na wszelki wypadek jedną spódniczkę, białą, w stylu marynarskim.

W busie, który miał mnie zawieźć na południe Włoch, w okolicy Foggi, siedziało już kilka osób. Był też Andrzej - organizator wyprawy. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna corocznie organizował wyjazdy na zbiór pomidorów. Za umożliwienie wyjazdu trzeba było wpłacić na jego konto 50 zł. On decydował z jakiej firmy busami będziemy jechać i w jakim terminie.

Wyruszyliśmy. Kiedy nasza załoga była już w komplecie, bo po drodze zabraliśmy ostatniego pasażera, okazało się, że w tylnej części busa nie mieszczą się wszystkie ba-



gaze. Każdy z „turystów” zabrał co najmniej dwie ogromne torby z żywnością. Kierowca busa zawiózł nas więc do swojego znajomego, od którego pożyczył przyczepkę z plandanką, w której umieścił nasze bagaże. Przyczepka ta, sądząc po zapachu i wyglądzie, służyła chyba kiedyś do przewozu trzody chlewnej. Mieliśmy z jej powodu sporo kłopotów na granicy austriackiej. To, co uszło uwadze kierowców busa zauważyli celnicy w tylnej części przyczepki nie było trójkąta odblaskowego. Musieliśmy zawrócić od przejścia i zastanowić się skąd wziąć ten nieszczęsny znak. Tu dużą pomysłowością wykazali się kierowcy, którzy szybko zmontowali coś w rodzaju trójkąta, po czym dopytywali się nas:

- Czy któraś z pań ma czerwony lakier do paznokci? Jeśli nie pomalujemy trójkąta - nie przejedziemy ostrzegali.

Niestety, w naszych damskich torebkach łatwiej można było znaleźć rękawice robocze niż lakier. Nie pomogliśmy więc kierowcom, oni jednak poradzi sobie. Zostawili nas na chwilę w busie, po czym wrócili z nowiutkim, błyszczącym trójkątem. Pewnie nieco później inny kierowca miał problemy na przejściu.

Wydawało nam się, że granica już stoi otworem dla nas. Czerwony trójkąt lśnił w blasku ulicznych świateł,

jednak celnicy znów popsuli nasze plany. Tym razem zakwestionowali ciężar bagażu w porównaniu do wydajności busika. Rozmowy kierowców z celnikami na osobności nie przyniosły rezultatu i pechowi właściciele pojazdów musieli zapłacić po kilkaset euro kary. Nie zamierzali jednak pokrywać kosztów z własnej kieszeni. Mimo, iż za podróż do Włoch zapłaciliśmy z góry po 300 zł. to kierowcy kazali nam, zebrać po 30 euro od osoby, by zapłacić karę celnikom.

- Kto nie zapłaci może już teraz wysiadać z bagażami - grozili.

Cóż było robić, mieliśmy już dość pięciogodzinnego postoju na granicy, a celnicy byli coraz bardziej zdenerwowani. Wyciągnęliśmy pieniądze odkładane na ostatnią godzinę i daliśmy kierowcom. Nigdy nam ich nie zwrócili.

Włochy powitały nas błękitem nieba i prześlicznym widokiem kwiatów porastających skrawek ziemi oddzielający dwa pasy autostrady. Rzeńskie powietrze szybko ustępowało falom gorąca, które nas zalewały. Na postoju poprosiłam kierowcę o walizkę, w której znajdowała się moja jedyna spódniczka mini, przebrałam się i odetchnęłam z ulgą. Pomyślałam, że będę musiała uzupełnić moją garderobę, a długie spodnie i spódnice zastąpić szortami.

Jechaliśmy na południe półwyspu, a z każdym kilometrem czułam jak rośnie we mnie chęć, by wysiąść i dotykać kwiaty o niezwykłych barwach, błyszczące, jakby nawoskowane liście drzew czy nacieszyć wzrok widokiem palm pojawiających się na skwerach miasteczek czy w przydomowych ogródkach. Nagle po lewej stronie jak zjawisko pojawiła się błękitna tafla wody, prześliczny Adriatyk, niepodobny do posępnego Bałtyku. To włoskie morze emanowało jakimś spokojem, łagodnością, jak gdyby zapraszało, by zanurzyć się w cieplej wodzie. Autostrada, którą jechaliśmy, znajdowała się niemal na wyciągnięcie ręki od Adriatyku, czuć było rzeńskie morskie powietrze, a brzeg piaszczystej

plaży pieszczotliwie gładziły białe grzbiety fal. Miejscami piasek na plaży ustępował miejsca okrągłym kamykom wygładzonym przez wodę. Tu i ówdzie wystawały z morza ogromne głazy, niczym strażnicy ostrzegający przed głębiną. Czasem na linii horyzontu, gdzie błękit nieba i wody niemal zlewał się ze sobą, widać było sylwetki statków rybackich, to znów srebrzyła się w słońcu woda rozpryskiwana przez mknące motorówki. Jakże zazdrościłam spalonym na brąz plażowiczom odbijającym piłkę plażową czy pluskającym się w wodzie.

Zakochana w urodzie Adriatyku wpatrywałam się weń przez kilka godzin, a kiedy wyjeżdżaliśmy z kolejnego tunelu nie ujrzałam już widoku morza, lecz wzgórze porośnięte drzewami oliwnymi. Dojeżdżaliśmy do Półwyspu Gargano, zaczynał zapadać zmierzch, a zachodzące słońce pojawiało się to znów chowało się za wzgórze wyostając kontury wierzchołków Apenin. Kiedy Foggia powitała nas tysiącami światełek był już późny wieczór, mimo to na ulicach panował ożywiony ruch, zwłaszcza w okolicy Starego Miasta, na skwerach stały grupki młodzieży, po wąskich uliczkach spacerowały rodziny z dziećmi, a w ogródkach przy barach kwitło kawiarniane życie. Zupełnie inaczej niż u nas - pomyślałam wspominając puste ulice w polskich miastach wraz z zapadającym zmierzchem.

Za miastem, kiedy zjechaliśmy z głównej drogi, wydawało nam się, że wjeżdżamy w jakąś czarną otchłań, jeszcze kilka zakrętów i byliśmy na miejscu. Było ciemno więc trudno było zorientować się co kryje otoczenie starego piętrowego budynku, z którego przez szpary w okiennicach prześwitywało słabe światło.

Zapach cytrusów i rozmarynu

Mój pierwszy poranek we Włoszech! Wdychałam z rozkoszą rześkie powietrze nasycone zapachem drzew cytrusowych i rozmarynu. Rozejrzałam się wokół. Dom, w którym zamieszkałam był duży, jednopiętrowy, lecz bardzo zaniedbany i zniszczony. Ze ścian odpadł tynk odkrywając kamienie sklezione zaprawą murarską, na lekkim wietrze od morza kołysały się uszkodzone okiennice, okna były pozbawione szyb. W „pokoju” na górze jakieś owady przypominające muchy, lecz znacznie większe i z oczami śmiesznie umieszczonymi na wystających czółkach upodobały sobie miejsce pod sufitem, gdzie zbudowały sobie małe gniazdo. Być może było ono jakąś swoistą spiżarnią, bo owady co chwilę wpadały do gniazda przez otwarte okno, by po chwili je opuścić.

W rogu pokoju, w którym mieszkałam znajdował się starannie wykonany kominek, kiedyś na pewno napełniał salon blaskiem ognia tworząc przytulny nastrój, a gałązki drzewa figowego poruszone wiatrem postukiwały w szyby. Jednak szarzyzna i brud, jakie panowały w budynku nie pozwalały zanadto puszczać wodze wyobraźni. Zabraliśmy się do sprzątnięcia. Kiedy z szarych podłóg zdejmowaliśmy kolejną warstwę brudu ujrzeliśmy śliczną marmurową posadzkę we wzory i desenie. Niesamowicie, ta rudera skrywała posadzki jakich nie powstydziliby się Belweder.

Kiedy uporaliśmy się ze sprzątnięciem w „pokojach” na piętrze zabraliśmy się do uporządkowania pomieszczeń,

w których nasz „capo” czyli Andrzej zamierzał otworzyć sklep.

- Robicie to dla siebie - zachęcał do sprzątnięcia - bo kiedy zaczniemy pracować, zobaczycie jak przyda się ten sklepik.

Wkrótce okazało się, że sklep faktycznie przydał się, ale tym, którzy nie mogli przeżyć dnia bez napoi alkoholowych. W sklepie „pana Andrzeja” (tak wszyscy go tytułowali) nigdy nie brakowało taniego piwa czy wina chłodzącego się w lodówce, podczas gdy mleko, jogurty czy parówki zalegały na ladzie. W Andrzejowym sklepie był jeszcze chleb i bułki, a wszystkie artykuły o 30 % droższe niż w sklepach w Foggi.

Po zakończeniu porządków oczekiwaliśmy na pracę, bo każdy dzień to strata kilkunastu czy kilkudziesięciu euro, jednak w zarabianiu przeszkodziły nam niespotykane o tej porze roku deszcze. Na południu Włoch w porze letniej trwającej pół roku zwykle nie spada ani jedna kropla deszczu, za to pozostała część roku, zwłaszcza zima, to pora ulewnych deszczy. Tym razem koniec lipca zaskoczył wszystkich częstymi i obfitymi opadami, a deszcze były zmorą dla naszego obozowiska. Cieszyłam się, że tuż po przyjeździe zdecydowałam się mieszkać w budynku. Choć pomieszczenia były w okropnym stanie, to było przynajmniej sucho. Ci, którzy zamieszkali w namiotach czasem przeżywali koszmar. W dzień temperatura często przekraczała 40 stopni, więc w namiocie było niczym w piecu, natomiast kiedy padał deszcz pole namiotowe zamieniało się w bagno. Nogi grzęzły w błocie po kolana.

Mimo tych warunków i tak nasza grupa należała do szczęśliwców. W budynku była elektryczność, a łazienkę stanowiły umywalki z bieżącą wodą pod ścianą domu. Nieopodal znajdowała się ubikacja zwana tutaj „małyszówką” (z wiadomego powodu). Wybudowali ją kiedyś Polacy z desek znalezionych na podwórku. Nasi rodacy są dość ope-

ratywni, bo wkrótce malowniczo wśród winorośli stanęła kabina z prysznicem, składająca się z trzech ścian i beczki z wodą.

Tymczasem do naszego obozowiska przyjeżdżały kolejne busy z ludźmi. Przybywało namiotów. Miejsce, gdzie mieszkaliśmy było prawdziwą oazą. Był prąd, woda, a przede wszystkim cień, który dawały rosnące tu figi, oliwki i winogrona. Nie wszyscy Polacy mieli tak dobrze. Widzieliśmy skupiska namiotów rozbitych w „szczerym polu”, bez najmniejszego cienia, a wodę czerpano z beczki ustawionej na środku obozowiska.

W oczekiwaniu na pracę, której podjęcie wciąż uniemożliwiał deszcz, mieliśmy okazję, by poznać okolice: malownicze miasteczka usytuowane na wzgórzach, wspinające gaje oliwne, dawne winiarnie oraz bliżej poznać się z mieszkańcami namiotów. Średnia wieku naszej grupy była wciąż niska. Przeważała młodzież szkół średnich, studenci, ale były też dwie panie po siedemdziesiątce, które jak się później okazało, nie miały sobie równych w ilości zebranych pomidorów.

Grunt nieco wysechł po ostatnich deszczach i wreszcie mogliśmy przystąpić do pracy. Zbiór pomidorów na południu Włoch odbywa się mechanicznie lub ręcznie. 200-hektarowa plantacja, na której pracowaliśmy, należała do rodzinnej spółki trzech kuzynów. Naszym pracodawcom bardziej odpowiadała praca przy użyciu taniej siły roboczej, więc warzywa zbieraliśmy ręcznie. Nie było to łatwe. Musieliśmy wyrwać krzewy i strzepywać pomidory do wielkich 300 - kilogramowych kasetonów. Należało przy tym uważać, by nie deptać pomidorów, bo wtedy właściciele bardzo się denerwowali. Napełnienie kasetonu pomidorami to zysk w wysokości 7 euro. Rekordziści, w tym te dwie starsze panie, robili dziennie po 6 - 7 kasetonów.

W południe upał stawał się nie do zniesienia. Trzeba było zejść z pola, odświeżyć się, ugotować na kuchence

gazowej obiad składający się z zupy w proszku i konserwy z makaronem, a przede wszystkim odpocząć. Około 15-tej znów w pole. Później wieczorny prysznic i kolacja.

Andrzej pełnił rolę szefa na polu plantatora i był osobą niezwykle ważną dla ludzi z mojej grupy. On zapisywał ile kto zebrał pomidorów i on płacił pieniądze. Często dochodziło do konfliktów z „capo”, ale ostatnie słowo i tak należało do naszego szefa. Włosi nie wtrącali się do naszych spraw organizacyjnych, więc do kogo udać się w razie nieporozumienia? Operatywny „pan Andrzej” umiał dbać o swoje interesy i duży zysk czerpał ze sprzedaży alkoholi w sklepiku. Niektórzy Polacy niemal nie trzeźwieli. Pracowali po kilka dni, by potem zarobione pieniądze natychmiast przepić.

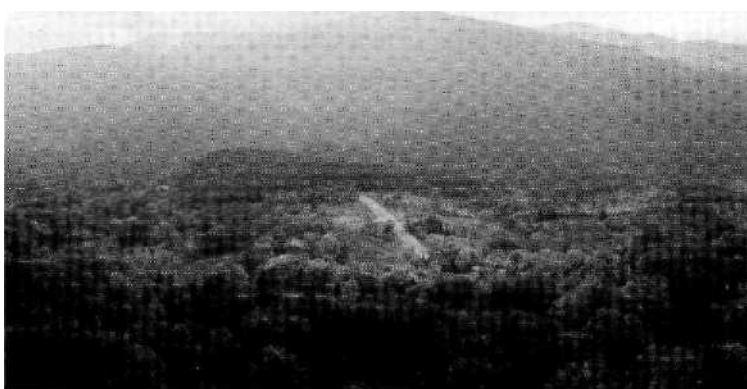
W oczach Włochów większość Polaków to alkoholicy i złodzieje. Kradzieże były na porządku dziennym. W naszym obozowisku codziennie ktoś skarżył się, że skradziono mu coś z rzeczy osobistych, aparat fotograficzny czy pieniądze. Łupem padały też konserwy. Nie pomagało nawet zakopywanie puszek pod namiotem, bo złodzieje wszędzie je znaleźli. Nieostrożni Włosi często zostawiali otwarte samochody. Niektórzy rodacy tylko czekali na ten moment, by wykraść jakieś drobne czy papierosy. Kiedyś w obozowisku rozpętała się prawdziwa burza. Jeden z właścicieli gospodarstwa dowiedział się, że kierowca busa dowożący ludzi do pracy przez dwa lata systematycznie kradł mu paliwo. Gniew plantatora był uzasadniony, ale cóż tam, po kilku dniach drugiego właściciela ktoś pozbawił telefonu komórkowego.

I tak robiliśmy kolejne pola. Najtrudniej było przy dużych pomidorach. Kasetony można było wprawdzie szybko napełnić, ale cena znacznie spadła - do 3-4 euro. Nie wszyscy wytrwali do końca zbioru. Jednym zabrakło siły, inni ulegli udarom słonecznym lub wypadkom. Kilka osób poparzyło sobie stopy wrzątkiem, ponieważ podczas

przygotowywania posiłków łatwo można było przewrócić garnek stojący na butli gazowej i oblać się.

W gruncie rzeczy nasza grupa nie była w najgorszej sytuacji. Karabinierzy nas nie niepokoiłi, Włosi sumiennie wypłacali zarobione pieniądze, a pracę mieliśmy zapewnioną. Jednak wiele osób pragnących dorobić się za granicą znalazło się w tragicznej sytuacji dzięki polskim pośrednikom. Do naszego obozowiska przyjechały kiedyś dwa autokary z ludźmi, których oszukał mieszkaniec Lublina. Nieuczciwy pośrednik wcześniej zainkasował po 1200 zł. od każdej osoby, a po przyjeździe do Foggii zniknął wraz z pieniędzmi. Takich oszukanych osób spotkaliśmy wiele.

Nasz pobyt dobiegł końca. Z bagażami, których wartość tym razem stanowiły rzeczy zakupione na ogromnym mercato w Foggii udaliśmy się do starego autokaru, którego właścicielem była ta sama firma przewozowa, która nas przywiozła. Oczywiście transport powrotny również zorganizował Andrzej. Zapewne nie bezinteresownie. Ale i tu czekała na nas niespodzianka. Jeden z kierowców był tak pijany, że nie mógł utrzymać się na nogach. Cóż robić, zdaliśmy się na wytrwałość drugiego kierowcy.



Płacz diomedeuszy

Lato we Włoszech potrafi być upalne. Rześkie poranne powietrze szybko ustępuje napływającym falom gorąca. W południe temperatura często przekracza 40 stopni C i wydaje się, że wszystko wokół wiruje. Pot zalewa oczy, nawet popijanie zamrożonej w butelce wody na krótko przynosi ulgę, zwłaszcza, jeśli pracuje się w polu...

Kiedy po dwóch tygodniach usuwania chwastów na plantacji pomidorów w okolicach Foggii znajomy zaproponował mi pracę w restauracji, ucieszyłam się, że schronię się przed upalnym czerwcowym słońcem. Miałam pracować w miejscu określanym przez turystów „Ostatni paradice” - na wyspach Tremiti położonych na Adriatyku. Moją obawę budziły nieco wymagania właścicielki restauracji, która postawiła twarde warunki: dobra znajomość kilku języków. - „Może dam sobie radę” - pomyślałam i dorzuciłam do podróźnej torby kilka podręczników.

Droga do „raju” wiodła najpierw przez zielone wzgórza z połyskującą u ich podnóża taflą wody, cudowne średniowieczne miasteczko Peschici położone nad morzem na Półwyspie Gargano oraz niezapomnianą przeprawę statkiem przez Adriatyk. W skład Archipelagu Tremiti wchodzi 4 większe wyspy oraz szereg skalistych wzniesień. Ja miałam pracować na wyspie San Nicola.

Rozmowa z Karoliną, właścicielką restauracji rozczarowała mnie, dowiedziałam się, że zamiast podawania posiłków i konwersacji z wielonarodowymi gośćmi, będę pracować w kuchni. Jednak fantastyczny krajobraz

Archipelagu i chęć pozostania tu na dłużej sprawiła, że zdecydowałam się zostać. Miałam zarabiać 700 euro miesięcznie, a posiłki i noclegi - gratis.

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęłam pracę. W kuchni uwijały się żwawo dwie młode Włoszki, jednak nie było mi dane bliżej je poznać, ponieważ wieczorem, po ostrej wymianie zdań z Karoliną, odeszły z pracy.



Zostałam sama. Restaurację prowadziła Karolina z mężem, który przygotowywał posiłki, oraz dwiema córkami. To one głównie podawały do stołu. Mój pierwszy dzień pracy skończył się po drugiej w nocy. W hotelowym pokoju padłam zmęczona na łóżko, jednak nie pozwalał mi zasnąć głośny krzyk ptaków zwanych „diomeduszami” przypominający płacz dziecka.

Według legendy na wyspie został pochowany Diomedusz, który wrócił ranny z wojny Trojańskiej, a jego towarzysze zostali zamienieni w rzadki gatunek ptaków i do dziś co noc oplakują śmierć wodza.

Kolejne dni były podobne. Pracę zaczynałam o godzinie 7-tej. po porannej espresso, przygotowanej przez Karolinę, lecz z pustym żołądkiem wykonywałam moje codzienne obowiązki: sprzątałam w restauracji i barze, nakrywałam do stołu i pomagałam kucharzowi przygotować dania obiadowe, na które składały się głównie owoce mo-

rza podawane z różnymi dodatkami. Wreszcie dostawałam obiad, już nie taki wytworny, zwykle makaron z sosem. Po obiedzie czekała na mnie zmywarka i wciąż napływające stopy naczyń. Później czyściłam kuchnię do połysku i siadałam do stołu, by zjeść kolację w postaci makaronu, na szczęście z innym dodatkiem.

Kiedy spożywałam kolację ciesząc się z tej rzadkiej okazji do odpoczynku, do baru napływali pierwsi goście, a mąż Karoliny dawał mi do zrozumienia, że mój dzień pracy jeszcze się nie skończył. Wędrowałam więc do kuchni przeklinając w duchu nienasycone apetyty turystów, a co za tym idzie stopy brudnych talerzy. Potem znów przywracałam połysk kuchni niezliczonymi detergentami, a o 2 w nocy wracałam do pokoju. Padałam na hotelowe łóżko tak zmęczona, że natychmiast zasypiałam nie słysząc już przeraźliwego krzyku „diomedeuszy”.

Karolina codziennie żądała ode mnie po przyjeździe do pracy klucza od pokoju, więc w ciągu dnia nie mogłam wejść nawet na chwilę, by odpocząć, a pracę kończyłam o 2 w nocy. Pracowałam już kilka dni i często zastanawiałam się czy moja szefowa nie jest świadoma, że wykonuję pracę ponad siły śpiąc zaledwie 4-5 godzin na dobę? Kiedy po sjeście zostawałam w kuchni z setkami brudnych talerzy - moi pracodawcy udawali się na kilkugodzinny odpoczynek. Nic dziwnego, że te dwie Włoszki odeszły zaraz po moim przyjeździe.

Wreszcie miarka się przebrała. Któregoś dnia odwiedził mnie znajomy, który załatwił mi tę pracę. Nie mógł uwierzyć, że pracuję tyle godzin. Tego dnia zrobiłam sobie nieco dłuższą przerwę obiadową - ok. 2 godz. Sądziłam, że na tyle godzin pracy należy mi się dłuższy odpoczynek. Jednak myliłam się, Karolina postanowiła mnie ukarać. Tego dnia nie dostałam już kolacji, nie zaproszono mnie też na obiad następnego dnia, dopiero przy kolacji Karolina ostro powiedziała, że tu się pracuje, a nie przesiaduje. Jej słowa nie zabolaty mnie jednak, bo podjęłam decyzję, że odchodzę.

Następnego dnia jak zwykle zabrałam się do wykonywania swoich codziennych obowiązków, a kiedy nadeszła pora sjesty i do kuchni zaczęły napływać stosy naczyń przebrałam się w strój kąpielowy i z gracją zeszłam na plażę odprowadzana piorunującym wzrokiem gospodarzy. - „Nie szanowali mojej pracy, niech więc sami sobie teraz radzą” - myślałam zanurzając się w krystalicznie czystej wodzie.

Kiedy późnym popołudniem wróciłam po zapłatę za ten tydzień dowiedziałam się, że nie zarobiłam nic, bo nagrodą za moją pracę była możliwość przebywania na wyspie oraz bezpłatne noclegi i posiłki. Sądzę, że po miesiącu pracy dostałabym tę samą odpowiedź.

Z żalem żegnałam „Ostatni Paradise” ze względu na bajeczny krajobraz odpływając do Peschici. Spędziłam w tym miasteczku kilka dni, poznałam kilka Polek, które pracowały w restauracjach i barach, opowiedziałam im o mojej pracy na Tremiti. Renata, która najdłużej pracowała w branży restauracyjnej powiedziała: - „Jak większość Polek po prostu trafiłaś w złe miejsce, niestety takie nadmierne wykorzystywanie zdarza się bardzo często, najlepiej popytać w środowisku, gdzie znajduje się restauracja o opinie na temat pracodawców oraz jak często zmieniają się pracownicy”. Dziewczyny chętnie opowiadały o swoich szefach, o 8-10 godzinnym dniu pracy i obowiązkową kilkugodzinną przerwą podczas sjesty. Pozazdrościć.

Drzewa, które pamiętają Chrystusa

Ostatnie dni października były zimne, wiał przeszywający chłodem wiatr kołysząc gołymi gałęziami. Wsiadliśmy do busa ciepło ubrani z termosem gorącej herbaty w podróźnej torbie.

W miarę upływu podróży robiło się coraz cieplej, przybywało zieleni, wydawało się nam, że gonimy lato. Włochy powitały nas pięknym słonecznym dniem, błękitem Adriatyku i wspaniałym widokiem kwiatów porastających skrawek ziemi oddzielający dwa pasy autostrady. Im bardziej zbliżaliśmy się na południe kraju mój wzrok zatrzymywał się na wzgórzach porośniętych drzewami w kolorze siwozielonym. Były to ogrody oliwne zw. oliveto - cel mojej podróży. Najbliższy miesiąc miałam spędzić w słonecznej Italii zbierając zielone i czarne owoce bogate w substancje oleiste.

Zamieszkaliśmy w domu Antoniego - właściciela kilkuhektarowego oliveto. Zrywanie oliwek w jego ogrodzie miało zająć nam ponad tydzień, później Antonio miał nas polecieć innym plantatorom. Zanim przystąpiliśmy do pracy przeprowadziliśmy zasadniczą rozmowę z „Antkiem” dotyczącą płacy. We Włoszech pracownicy sezonowi przy zbiorze oliwek opłacani są w/g trzech stawek: za dniówkę - 20-30 euro za ok. 8 godz. pracy, za godzinę - najczęściej 3 euro oraz na akord - od 18-25 euro za kwintal owoców. Najkorzystniej jest pracować na dniówki lub godziny, ponieważ nie wszystkie drzewa wydają owoce. Czasem gałęzie uginają się od ciężaru oliwek, a niekiedy trzeba wspinać się

na wierzchołek drzewa, by strząsnąć kilka pojedynczych owoców. Właściciele ogrodów zazwyczaj przestrzegają, by nie zmarnowała się żadna oliwka.

Kiedy pracodawca proponuje wynagrodzenie uzależnione od ilości zebranych kwintali, można się spodziewać, że w jego ogrodzie nie znajdziemy zbyt urodzajnych drzew.

Niestety Antonio uparł się, że zapłaci nam od kwintali. Mieszkaliśmy w jego domu, więc musieliśmy się zgodzić na te warunki.

Nazajutrz nasze przecucia sprawdziły się. W „Antkowym” oliveto rosły drzewa zaniedbane, pokręcone i sękaty, otoczone kępami młodych pędów wyrastających wokół uszkodzonych pni. Przyjechaliśmy do pracy dość wcześnie, ale musieliśmy czekać aż słońce wyżej się wzniesie i osuszy mokre owoce, ponieważ oliwki by spleśniały zanim zabrano by je do przetwórnicy.

Przystąpiliśmy do pracy. Pod drzewami rozciągnęliśmy wielkie siatki, o konary oparliśmy aluminiowe drabiny i uzbrojeni w specjalne grabki szczesywaliśmy z gałązek owoce na siatkę. Kiedy upewniliśmy się, że żaden owoc nie został na drzewie (Antonio zawsze potrafił dostrzec jakąś oliwkę ukrytą wśród liści) zsyпалиśmy je do skrzynek. I kolejne drzewo...

W południe robiliśmy krótką przerwę obiadową, bo jesienne dni we Włoszech nie są już tak upalne jak latem chociaż temperatura sięgała 25 stopni C.

Praca przy zbiorze oliwek jest niezwykle przyjemna. Włosi mówią, że drzewa oliwne są nieśmiertelne, nawet te zaniedbane nie umierają, bo wydają owoce. Antonio pokazywał nam drzewa, które podobno miały już ponad tysiąc lat. - One byty tu zawsze, czy my jesteśmy czy będą inni - one będą niezmiennie uczestniczyć w mijaniu czasu - mówił.

Istotnie, praca w ogrodzie napawała nas bezmiernym spokojem, doznawaliśmy uczucia jakiegoś wewnętrznego wyciszenia.

Po ośmiu dniach pracy w „Antkowym” ogrodzie zebraliśmy sprzęt i przenieśliśmy się na ogród Savina usytuowany na wzgórzu wokół miasteczka. Tu czekały na nas lepsze zarobki, bo pracowaliśmy na dniówki 25 euro za siedmiogodzinny dzień pracy.

Do naszej czteroosobowej ekipy dołączyły dwie Włoszki po pięćdziesiątce. Mara i Anna okazały się niezwykle miłymi towarzyszkami pracy. Wprawdzie spoglądały krytycznie, gdy ktoś z nas zbyt ociągał się w pracy, ale dbały zwłaszcza o nasze żołądki. Pracę codziennie zaczęliśmy od maleńkiej kawy espresso i cornetto, około dziesiątej przysiadaliśmy pod drzewami i zjadaliśmy się pyszną pizzą lub tartą z oliwkami, a w południe córka jednej z kobiet przywoziła w rondlach lub garnkach jeszcze gorące lazanie, risotto albo zupę zwaną ribollita i obowiązkową butelkę domowego wina.

Kiedy po kilku dniach skończyliśmy pracę w ogrodzie na wzgórzu, z żalem rozstawaliśmy się z kobietami. Na pożegnanie każdy z nas dostał po 1,5 litrowej butelce oliwy z oliwek.

Równie przyjemnie pracowało nam się u Domenica, tu, podobnie jak u Savina, pracowaliśmy z włoską rodziną i wspólnie spożywaliśmy - podczas godzinnej sjeisty posiłki w ich domu. Na pierwsze danie był makaron, codziennie z innym dodatkiem (to odpowiednik naszych zup). Drugie danie zwykle mięsne, a na deser: owoce, wino i talerz oliwek. Oliwki zerwane z drzewa są bardzo gorzkie, aby nadały się do zjedzenia trzeba je zasolić lub ukisic. Niestety i w tym ogrodzie praca dobiegła końca. Domenico wypłacił nam po 30 euro za dzień i wręczył po butelce oliwy.

Kolejni nasi pracodawcy nie byli już tak życzliwi i hojni. Pino całe dni spędzał z nami w ogrodzie po to tylko, by nas kontrolować i o wszystko mieć pretensje. O zgnieciony przypadkiem owoc, o źle - jego zdaniem - ustawioną drabinę itd. Kiedy w południe robiliśmy krótką przerwę, by

coś przekąsiał, patrzył na nas krytycznie i spoglądał na zegarek. W dodatku musieliśmy codziennie po pracy zawieźć owoce do przetwórcy i zważyć je. A to zajmowało nam kilka godzin. Tymczasem Pino zapłacił nam tylko za czas spędzony w ogrodzie - po 20 euro dziennie. Cieszyliśmy się, kiedy skończyliśmy u niego pracę i z nadzieją na lepsze przeniesiliśmy się do ogrodu nonno - dziadka.

Zbiór oliwek dobiegał już końca. Oliveto starszego pana miało być naszym ostatnim miejscem pracy. Toteż kiedy dziadek przywiózł nas do ogrodu, nie pertraktowaliśmy zbyt długo o pieniądze. Wydał nam się miły i niekonfliktowy, bo rzadko do nas zaglądał, a kiedy wspominaliśmy o zapłacie mówił: „będzie dobrze”. Jednak kiedy doszło do wypłaty - nie było „dobrze”, bo dostaliśmy zaledwie po 9 euro! Trudno, nic nie mogliśmy zrobić.

Jednak to nie było nasze ostatnie zaskoczenie. Kiedy pakowaliśmy walizki przed powrotem do kraju, Antonio - właściciel domu u którego pracowaliśmy na samym początku i przez cały czas mieszkaliśmy - zażądał od nas po 100 euro za czynsz. Mimo, że wcześniej nie wspominał, że mamy mu za cokolwiek zapłacić. Ujęci honorem daliśmy mu pieniądze, jednak, by zrekompensować niespodziewany wydatek zebraliśmy po kilka kilogramów migdałów rosnących koło domu i nieźle przerzedziliśmy drzewko laurowe z liści.

Opaleni na brąz wyjechaliśmy w grudniowy poranek do kraju, z żalem żegnając zielone wzgórza i drzewa, być może pamiętające narodziny naszej epoki...

Wielkanoc po Włosku

Pracownicy sezonowi wyjeżdżają tłumnie do Włoch kilka razy w roku; na sadzenie pomidorów, potem ich zbiór, ścinanie szparagów czy zbiór oliwek. Na przełomie marca i kwietnia wyruszą busy z osobami, których zadaniem będzie obsadzenie pomidorami ogromnych połaci pól.

Była połowa marca. Moja znajoma, Teresa, z którą zamierzałam pojechać na Półwysep Apeniński powiedziała, że ta praca jest intensywna, ciężka, ale dobrze płatna, ponieważ dziennie pracuje się nawet do 12 - 13 godzin, więc łatwo obliczyć jaki będzie zarobek. Na południu Włoch stawki są znacznie niższe niż na północy i przeciętnie Włosi płacą ok. 3,50 euro za godzinę, ale zdarza się, że mniej, zwłaszcza jeśli pracę załatwił nam pośrednik, który nadal pobiera haracz.

Chociaż zamierzałyśmy jechać na plantację Renza za tydzień lub dwa, to Włoch zmienił nasze plany. - „Przyjeżdżajcie szybko, za dwa trzy dni zaczynamy” - ponaglał nas przez telefon.

Tradycyjnie zapakowałyśmy w torby o okazałych rozmiarach suchy prowiant, który miał nam wystarczyć na pierwsze dni, aż do zaliczki i wczesnym sobotnim rankiem wsiadłyśmy do busa, który miał nas zawieźć do Manfredonii na półwyspie Gargano.

- Nie wiem jak ty - cieszyła się Teresa - ale ja idę jutro do pracy, przyjedziemy pewnie rano, więc można jeszcze popracować kilka godzin. „Obyśmy zajęły w ciągu dnia” - pomyślałam znając zwyczaje kierowców busów,

którzy wożą pasażerów w różne zakątki półwyspu i często podróż wydłuża się dwukrotnie.

Nie myliłam się. Choć kierowca wcześniej zapewnił nas, że pojedziemy autostradą wzdłuż Adriatyku prosto do Foggi to nasz pobyt na półwyspie zaczął się od jego zwiedzania. Już mknęliśmy podziwiając morskie krajobrazy, motorówki przecinające błękitną taflę wody, to znów wzburzone fale z białymi grzywami. Nagle z autostrady skręciliśmy w stronę Apeninów, przejeżdżaliśmy przez niekończące się tunele, skaliste, pozbawione roślinności góry o ceglanej barwie, minęliśmy Monte Cassino... Wreszcie po wielu godzinach naszym oczom ukazało się Morze Tyrreńskie, a po chwili Neapol. Znowu przemierzaliśmy masyw apeniński, by dotrzeć w poniedziałek rano do Foggi.

Kiedy wyjeżdżaliśmy z Polski było ciepło i słonecznie, podobnie jak w poniedziałkowy ranek, który miał być pierwszym dniem naszej pracy. Jednak koło południa niebo zasnuły chmury, zaczął padać deszcz, a potem śnieg, rzadko spotykany o tej porze roku i w miejscu tak daleko wysuniętym na południe. Było zimno i mokro. Renzo zakwaterował nas w mieszkaniu znajdującym się w budynku gospodarczym, nie zamierzałyśmy jednak oczekiwać w nim na poprawę pogody. Zaproponowałam zwiedzanie okolicy, Teresa zdenerwowana wciąż oddalającą się wizją zarobienia euro w końcu dała namówić się na wycieczkę. Zwiedziliśmy Sanktuarium Matki Boskiej Łaskawej w San Giovanni Rotondo, gdzie większość swojego życia spędził Ojciec Pio, później Inkononantę, gdzie w Sanktuarium znajduje się cudowny obraz Matki Bożej. To jedno z trzech miejsc na świecie, gdzie twarz Madonny ma czarną karnację. Wreszcie po 10 dniach poszliśmy do pracy! Całe szczęście, bo z żywności, którą zabraliśmy z Polski zostało nam tylko kilka torebek zupek chińskich.

Renzo zawiózł nas na pole wyglądające jak pasiak łowicki z powodu rozciągniętych pasów folii z regularnymi otworami na obu brzegach, wręczył styropian z sadzonkami

i narzędzie z ostrym szpikulcem. Należało robić nim przez otwory w folii dziury w ziemi i wsuwać w nie sadzonki. Po kilku godzinach pracy bolały nas plecy, na dłoniach mimo, że pracowałyśmy w rękawiczkach robiły się pęcherze. Na polu pracowało już od paru dni kilka Bułgarek, pomidory sadziły szybko i zręcznie, a ja z Teresą wyraźnie zostawałyśmy w tyle.

Po południu na pole przyjechał kierowca traktora Leszek i pocieszył nas, że następnego dnia ziemia będzie bardziej sucha i będziemy mechanicznie sadzić pomidory. - „Na sadzarce będzie o wiele łatwiej” - pocieszała mnie Teresa.

Następnego dnia urządzenie, które miało ułatwić nam pracę już czekało na nas na polu. Do ciągników przymocowane były sadzarki z dwoma lub trzema siedzeniami, obok których na drążku zamocowane były styropiany z sadzonkami. Należało je wrzucać pojedynczo w otwory na obracającym się kole. Jedną sadzarkę z trzema siedzeniami oprócz kierowcy ciągnika obsługiwało cztery osoby, ponieważ jedna z nas musiała ręcznie dosadzać za maszyną sadzonki tam, gdzie ich brakowało lub zostały niewłaściwie umieszczone w ziemi. Wydawało mi się, że wrzucanie pomidorów w otwory będzie dziecinnie proste, ale kiedy koło zakręciło się w zawrotnym tempie, że otwory niemal zwały się w jedną linię, a ze styropianów zaczęła kapać woda zmieniłam zdanie. Jednak ręczne dosadzanie było zajęciem jeszcze bardziej męczącym. Pomijając fakt, że trzeba było chodzić cały dzień za maszyną, a południowe słońce grzało niemiłosiernie w plecy, to wbicie owego narzędzia w suchą, zbryloną ziemię było prawdziwym wyczynem. Sadzonki rzadko były prawidłowo umieszczone w ziemi, zwykle zbyt głęboko lub płytko.

Pola na południu Włoch są usiane kamieniami, rolnicy dbający o dobre plony starają się je usuwać, oczywiście przy pomocy taniej siły roboczej czyli Polaków. Jednak niektórzy Włosi nie przejmują się, że kamienie bardzo

często niszczą maszyny. To jest jedna z cech mieszkańców Półwyspu Apenińskiego, której nie potrafię zrozumieć... Do kampanii Renza prowadziła wewnętrzna asfaltowa droga, na której w jednym miejscu utworzyła się głęboka dziura, jadąc trzeba było bardzo uważać, by w nią nie wjechać. W ostatnich latach próba przejechania obok dziury nie powiodła się Renzowi dwukrotnie, toteż dwa razy poważnie uszkodził samochód. Inni Włosi przejeżdżający tą drogą ciągle narzekali na dziurę, ale nikomu nie przyszło do głowy, by ją po prostu usunąć. Wystarczyłaby taczka żwiru...

Praca przy sadzeniu pomidorów, jak uprzedziła mnie znajoma, była rzeczywiście wyczerpująca. Codziennie pracowałyśmy około 12 godzin i marzyłyśmy o wolnym dniu. Zbliżała się Wielkanoc, jednak okresowi przedświątecznemu nie towarzyszył ten niezwykły nastrój wyczekiwania, jaki obserwujemy w Polsce, nie było widać też żadnych przygotowań. Mimo to postanowiłyśmy z Teresą, że my spędzimy te święta tak jak w kraju. W Wielką Sobotę Renzo jak zwykle pożegnał się z nami po pracy nie wspominając nic o wolnych dniach! Okazało się, że Wielkanoc we Włoszech, a zwłaszcza na terenach rolniczych, to zwykły dzień pracy. Kiedy pogoda sprzyjała pracom rolniczym nikt nie myślał o świętowaniu. Tego było za wiele, oznajmiłam Renzowi, że w Wielkanoc na pewno nie może liczyć na moją i Teresy obecność w polu. Pracodawca był trochę zaskoczony, ale i niezadowolony, bo nasza nieobecność psuła organizację pracy, ale zgodził się. Pozostali Polacy nie mieli odwagi poprosić o wolne...

Wreszcie wrzuciłam ostatnią sadzonkę do otworu wykutego w skalistej glebie i zakończyłam pracę na kampanii Renza. A na powrót nie wybrałam już turystyczno-krajoznawczego busa, ale tanie linie lotnicze.

Praca i namiętność

Powiedzenie, że „Polki są najładniejsze na świecie” niektóre nasze rodaczki wzięły sobie z nadmiarem do serca. Jadąc do Włoch do pracy sezonowej, by coś zarobić i podreperować rodzinny budżet, żegnają się czule z rodzinami i już mkną autokarem do ojczyzny gorących Włochów. A większość pasażerek to białogłowy...

Jaka tajemnica w tym tkwi, że Włosi tak lubią towarzystwo Polek? Czy zniewalają je jasne kosmyki włosów na tle opalonej skóry, czy zachwyca uroda? Mężczyźni z południa często darzą nasze panie opowieściami, że skargą w głosie, że Włoszki nic nie robią tylko leniuchują, nie chcą pracować, lecz większość czasu poświęcają na zabiegi kosmetyczne, pielęgnacyjne, a my Polki jesteśmy zaradne, wyrozumiałe, nie boimy się żadnej pracy, nawet takiej, której mężczyzna nie poddał. Po takich szczerych wyznaniach stajemy się jeszcze bardziej wyrozumiałe i dowodzimy Włochom, że potrafimy wiele z siebie dać...



Pracując „na domku” czyli w charakterze opiekunki starszej osoby raczej trudno o męskie towarzystwo, bo zwykle opieka jest całodobowa, a jeśli już opiekunka wychodzi na spacer to ze swoim podopiecznym. Jednak i tu niektóre panie wykazują się fantazją i ro-

mansują np. z krewnym osoby, której się opiekują. Barbara w dzień dotrzymywała towarzystwa starszej pani, a nocami czule opiekowała się jej synem, który zaniedbując własną rodzinę podejrzanie często odwiedzał matkę. Kiedy krewni zorientowali się co dzieje się w mieszkaniu starszej pani pod osłoną nocy, natychmiast kazali się jej wynosić, lecz ostre słowa, a nawet obelgi i wyzwiska nie zrobiły na Barbarze wrażenia. Wreszcie pozbyli się uciążliwej opiekunki.

Panie, które szukają rozrywki mają pełnię swobody pracując na kampaniach. W gospodarstwie rolnym Carla mieszka i pracuje okresowo ok. 12 Polek. Dwie z nich najwyraźniej interesuje tylko praca, po której odpoczywają, by nabrać sił do następnego dnia, dwie inne dają się czasem zaprosić na kawę do baru, lecz po wypiciu małej czarnej kończą spotkanie. Pozostałe kobiety dzielą czas na pracę i seks z Włochami.

Beata i Michał przyjechali do Włoch, by zarobić pieniądze na ukończenie budowy domu, a dwoje dzieci zostawi pod opieką babci. Małżonkowie nie pracują jednak na jednym polu. Podczas zbioru pomidorów Luciano - kierowca carello czyli wózka zbierającego kasetony z pomidorami, oczekując na kolejną dostawę warzyw miał czas, by przyjrzeć się Polkom. Najwidoczniej spodobała mu się Beata, bo zaczął ją zalotnie obrzucać pomidorami, a ona nie była przeciwna tym zaczepkom. Wkrótce zostali kochankami bez skrępowania uprawiając seks w miejscach mało intymnych np. na drugim końcu pola. Wierzyła, że Luciano porzuci żonę spodziewając się dziecka, a ją zabierze do swojego mieszkania wraz z jej dziećmi. Dla niego był to nieważny „skok na bok”, dla niej wielka miłość. A bezsilny Michał obserwował zdradę żony nie mając na nią najmniejszego wpływu.

Półwysep Gargano leży w tej części Włoch, gdzie słońce w porze letniej mocno przygrzewa, niekiedy do 50 stopni C przy gruncie. Na bezkresnych polach murowany domek otoczony kilkoma drzewami figowymi i budynka-

mi gospodarczymi był prawdziwą oazą. Jednak szukając cienia trzeba było uważać, by nie natknąć się na romansującą Kaśkę z Giuseppe - kierowcą traktora. Iwona wyżej postawiła poprzeczkę, bo jej łask dostąpił tylko Carlo - właściciel kampanii. Być może on był jej tym „jedynym”, lecz ona niestety nie, bo jednocześnie romansował z dwiema innymi Polkami. Jednak największą inicjatywę wykazała czterdziestoletnia Anna, matka pięciorga dzieci, która wróciwszy któregoś ranka po nocy spędzonej w samochodzie, skarciła wzrokiem zdziwione spojrzenia rodaków:

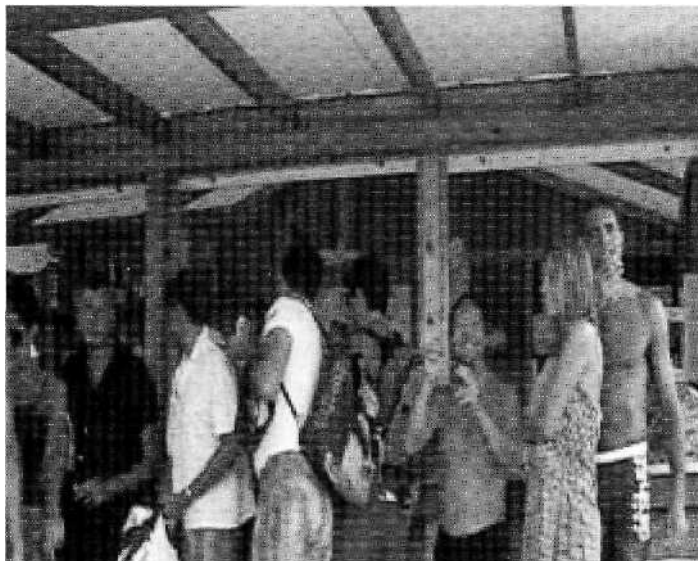
- A co, porozmawiać nie można w samochodzie? - rzekła. Widocznie polubiła te pogawędki, bo odtąd niemal każdą noc spędzała w mercedesie.

Małgosia poważnie traktowała pracę, a porę obiadową przeznaczała tylko na odpoczynek. Za to codziennie o godz. 5 rano i 8 wieczorem kamping, w którym mieszkała ulegał dziwnym drganiom. Może to na skutek obecności Antonia, który lubił ją odwiedzać dwukrotnie w ciągu dnia?

Schemat cielesnych uciech na Carlowej kampanii jest zbliżony do obyczajów panujących w miejscach, gdzie przebywają Polki. Dlaczego to robią? Czasem dla drobnych prezentów, zaproszenia na pizzę, czasem nie potrafią oprzeć się komplementom Włochów. A może pociąga je gorący temperament mieszkańców słonecznej Italii? Oczywiście łatwe nawiązywanie kontaktów towarzyskich nie dotyczy wszystkich Polek wyjeżdżających do pracy, ale tych odpornych na zaloty Włochów jest garstka. Zbytne uleganie namiętnym Włochom z pewnością świadczy o braku szacunku dla własnej osoby, zwłaszcza, gdy jest się tylko zabawką, bo oni wolą pokazać się na ulicy z marudzącą, lecz zadbaną Włoszką, niż z Polką, co do której istnieje duże prawdopodobieństwo, że nawiązywanie z nią kontaktów ... nie należy do trudności. Również wśród prostytutek prym wiodą Polki. W rezultacie nasze rodaczki przebywające w miejscach publicznych: na ulicy,

w sklepie itp. ciągle są zaczepiane, często mężczyźni proponują wprost miłość za pieniądze.

We Włoszech zamiast powiedzenia: „Polki są piękne” coraz częściej słyszy się z ust mieszkańców Italii: „Polki są łatwe”.



Pałace i rudery

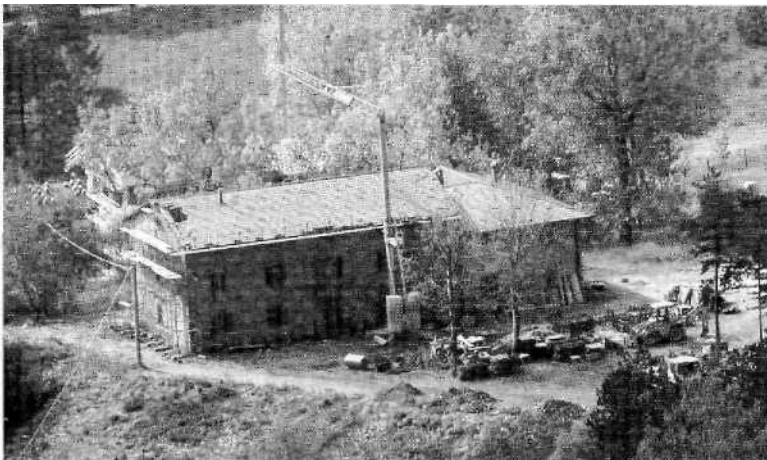
Jadąc samochodem czy pociągiem po Półwyspie Apenińskim lubię patrzeć na krajobraz. Bogata w zieleń północ, w miarę zbliżania się na południe kraju, ustępuje miejsca nagim skalistym wzgórzom gdzieś porośniętym kaktusami lub kosodrzewiną, w niższych partiach wzniesień i w dolinach rozciągają się gaje oliwne, aż u podnóża gór w nadmorskich dolinach zachwyca zieleń pól uprawnych. Finokie, pomidory czy karczochy lśnią świeżością, jak gdyby piekące słońce nie miało na nie najmniejszego wpływu. To, że w ponad 40-stopniowym upale nie więdną - zawdzięczają dobremu funkcjonowaniu systemów nawadniania. Gdzieś na terenach wiejskich mijam zadbaną posiadłość, a szczelnie zamknięte okiennice domu chronią jego mieszkańców przed wdzierającym się do środka gorącym powietrzem.

W tym idealnym rzecz można krajobrazie południa pojawiają się od czasu do czasu jakieś destrukcyjne elementy. To stare, zniszczone, często walące się domy, winiarnie czy budynki gospodarcze. Zanim opuścili ich właściciele kilkadziesiąt lat temu przenosząc się do miast, zapewne tętniło w nich życie, ale i teraz mają nowych lokatorów - Polaków, Rumunów czy Bułgarów. 90 procent naszych rodaków pracujących „na czarno” w rolnictwie mieszkało lub nadal mieszka w ruderych często bez bieżącej wody, prądu, nie wspominając o kanalizacji. Większość Polaków, z którymi zetknęłam się we Włoszech doświadczyło mieszkania w takich warunkach.

W jednym z nadmorskich miasteczek w czasie upalnego południa wstąpiłam do baru, w którym spotkałam Kasię z Wrocławia zatrudnioną w charakterze kelnerki. Dziewczyna opowiedziała mi swoją historię sprzed kilku miesięcy.

- Zaufałam znajomej, która miała załatwić mi pracę „na domku”, ale kiedy przyjechałam do Bari nikt na mnie na stacji nie czekał, a telefon mojej znajomej milczał. W obcym mieście natknęłam się na Polaków, którzy starali się mi pomóc zabierając na kampanię. Pracowałam przy zbiorze karczochów tylko kilka godzin dziennie, a zarobione pieniądze wystarczały zaledwie na jedzenie. Jednak najgorsze były warunki mieszkaniowe, spaliśmy na cuchnących materacach rozłożonych w starym budynku na gołej posadzce. W pomieszczeniu cuchnęło odchodami po owcach, które zapewne kiedyś miały tu oborę, ale najgorsze było wszechobecne robactwo, które zwłaszcza nocą bezkarnie spacerowało po naszych rzeczach. To jeszcze nie koniec koszmaru. W budynku nie było wody bieżącej ani studni, toteż kąpaliśmy się w rzece unikając jaszczurek i węży, których nie brakowało na rozgrzanych kamieniach nad rzeczką.

Wiele razy słyszałam podobne historie.



Pośrednicy

We Włoszech najłatwiej znaleźć pracę w rolnictwie, gastronomii czy w charakterze opiekunek, jednak wielu Polaków widzi łatwy zarobek w pośrednictwie pracy. Na łamach gazet jest wiele ogłoszeń oferujących pracę, ich autorzy często proponują zawarcie umowy. Na ile prawdziwa jest treść ogłoszeń? Z obserwacji wynika, że niewielki odsetek to uczciwe oferty. Zwykle autorami anonsów są nieuczciwi pośrednicy poszukujący naiwnych rodaków, by na nich zarobić. Za wskazanie adresu włoskiego pracodawcy pośrednicy żądają 200 - 300 euro, jednak po wpłaceniu tej kwoty często okazuje się, że po przyjeździe do Włoch pośrednik znika z pieniędzmi lub pracodawca nie pojawia się w umówionym miejscu, by odebrać pracownika z Polski, bo umowa o pracę była fikcyjna.

Na stację do Foggii niemal codziennie przyjeżdżały busy i autokary z Polski z osobami, które miały zostać zatrudnione na plantacjach, ale nawet po kilkudniowym oczekiwaniu nikt się nie zgłaszał, by je odebrać. Ileż razy na dworcach autobusowych czy stacjach benzynowych spotykałam kobiety, które zostały oszukane przez koleżankę, a nawet kogoś z rodziny! Oczekiwały kilka dni, tydzień lub więcej na możliwość powrotu do kraju mając nadzieję, że któryś z kierowców busów wreszcie zlituje się i zabierze je do do domu, głodne i zmęczone.

Inną formą żerowania na rodakach jest ściąganie z nich haraczu. Polscy pośrednicy w wielu przypadkach to bezlitosne hieny. Przekonał się o tym Darek z Zamościa,

student IV roku. Przyjechał z kolegą w okolice Foggi, by zarobić na opłacenie semestru. Koledzy udali się na kampanię do Polki, która pełniła rolę „capo” i zaproponowała im ten przyjazd, oczywiście odpłatnie. Ich zarobki miały wynosić 3,5 euro za godzinę. Pracę dostali ciężką, zbierali ręcznie pomidory do wielkich kasetonów. Pracowali cały dzień, by napełnić kilka pojemników o pojemności 300 - kg, często w piekącym słońcu, bez jedzenia, bo skromne zapasy żywności przywiezione z Polski skończyły się, a pracodawczyni zwlekała z zaliczką, wody do picia też brakowało, za ostatnie pieniądze chłopcy kupili w supermarkecie kilka butelek wody. Tymczasem blondwłosa Polka ze swoim przyjacielem Murzynem przyjeżdżali na pole kusząc schłodzoną wodą za jedyne... dwa euro za butelkę. Ta sama woda w sklepie kosztowała 18 centów!

Studenci mimo to wytrwale pracowali, a kiedy po trzech tygodniach poprosili o pieniądze usłyszeli od pary kochanków, że mają się natychmiast wynosić, oczywiście bez pieniędzy. Kiedy Darek próbował skłonić kobietę, by chociaż cokolwiek im zapłaciła, w odpowiedzi dostał kilka kopniaków od jej czarnego przyjaciela.

Takie przypadki wykorzystywania rodaków były na porządku dziennym. Barbara też pośredniczyła w załatwianiu pracy, ale w łagodniejszej formie. Dzięki sprytowi i niezwykle miłemu sposobowi bycia pieniądze płynęły do niej rzeką. Urodziwa 40 - letnia kobieta najpierw zawładnęła sercem starszego o co najmniej 30 lat bogatego Włocha, który pozbył się swojej nudnej żony, a potem wypełniając zapewne przeznaczenie losu zamieszkała ze zgrzybiałym Włochem pozorując wielkie zauroczenie jego osobą.

Wkrótce dojechały do niej dorosłe już dzieci oraz rodacy pragnący podjąć pracę. Barbara oczywiście zawsze znalazła dla nich zatrudnienie, nawet poczęstowała obiadem czy zawiozła na pole, a kiedy lokator uprzejmej Polki wracał do kraju i prosił ją o zarobione pieniądze z twarzy Barbary zniknął uśmiech. Powiadomiwszy ofiarę,

iż ostatnio z mieszkania zniknęło jej kilka przedmiotów wręczała pieniądze na bilet powrotny i przyjaźń pryskała jak bańka mydlana. Wkrótce jej mieszkanie wypełniało się kolejną dostawą Polaków wierzących w pomocną dłoń Barbary.



Piekło za bramą

Tadeusz wraz z grupą Polaków jechał na południe Włoch do pracy na plantacji pomidorów. Nie obawiał się przykrych niespodzianek, bo miał przy sobie, podobnie jak wszyscy towarzysze podróży, dokument pozwalający na legalną pracę: „Contratto del lavoro”, gwarantujący ustalone zarobki i odpowiednie warunki mieszkaniowe.

Po blisko 30-tu godzinach męczącej jazdy autobus zatrzymał się przed bramą z napisem „Club Bar Paris”. Polaków poproszono o szybkie opuszczenie pojazdu i wejście na teren placu, na którym znajdował się stary budynek i rosło kilka drzew. Najbardziej imponujące było jednak ogrodzenie. Solidne, metalowe, przynoszące na myśl więzienie albo właśnie obóz. Brakowało tylko drutu kolczastego...

Polacy zostali poinformowani, że mają do wyboru wynajęcie łóżka w budynku - za 100 euro miesięcznie lub miejsca w namiocie - za 60 euro. W obozie przebywało już około 70 osób, a do ich dyspozycji były zaledwie dwie łazienki. Za wszystko trzeba było płacić extra. Za dowóz do pola, na którym mieli pracować, za wyjazd do sklepu busem raz w tygodniu. Surowo zakazano im wychodzenia poza teren obozowiska oraz kontaktowania się z kimkolwiek. Aby mieć większą pewność, że tego nie zrobią, dość skutecznie ograniczono im możliwość ładowania baterii telefonów komórkowych. Do dyspozycji naszych rodaków otwarto za to bar i sklepik. W obu trzeba było oczywiście słono płacić. Na domiar złego zarobki bardzo różniły się od tych obiecywanych przez pośredników w Polsce. Władzę

w obozowisku sprawowali: Polak, Ukraińiec i Włoch. Na czele stał Włoch o imieniu Pompeio.

Tadeusz i jego kolega wytrzymali dwa dni. Wymknęli się w nocy, przez dziurę w ogrodzeniu. Szli z bagażami przez pola. Pokonali kilkanaście kilometrów. Długo szukali pomocy. W końcu znaleźli ją w jednym z kościołów, podobnie zrobiło kilkudziesięciu innych Polaków. Uciekli, lecz długo nie mogli otrząsnąć się z szoku, jaki przeżyli na plantacji. Teraz ci, którym udało się wydostać z obozu i ci, których oszukali pośrednicy, koczują razem na stacji kolejowej w Foggia. Niestety, nadal nie czują się bezpieczni. Boją się nie tylko złodziei i ewentualnej zemsty ze strony oszustów, ale także... karabinierów i policji

Funkcjonariusze często kontrolują okolicę. Zdarza się, że zabierają na przesłuchania Rumunów, Albańczyków, Ukraińców. Na Polaków nie zwracają większej uwagi. Sprawiają takie wrażenie, jakby ich wcale nie widzieli. Trudno też nie dostrzec naszych rodaków pracujących na polach i zamkniętych w różnych kampaniach. Po 1 maja, czyli od momentu naszej akcesji do Unii, częste wcześniej tzw. łapanki, już się praktycznie nie zdarzają.

Policja i karabinierzy nie utrudniają życia naszym rodakom. Sprowadza się to jednak do tego, że nie interesują się zanedo tym, dlaczego codziennie z autokaru wysiada kilkadziesiąt osób z bagażami, a później ci sami ludzie koczują na dworcach i parkingach. Dlaczego? Szef Questura di Foggia zapewnia w wywiadach, że na nieuczciwych pośredników czeka proces i więzienie. Jednak pytanie: przeciwko ilu oszustom wszczęto śledztwo w ubiegłym roku? - pozostaje bez odpowiedzi. Dość powiedzieć, że pośrednicy we Włoszech czują się bezkarni. Są ich tu setki, a może nawet tysiące. Znikają z pieniędzmi lub dają pracę, za którą trzeba wcześniej czy później słono zapłacić. A jeśli nie...?

W okolicy Foggia grasuje nasza rodaczka,
blondynka. Zawsze towarzyszy jej kilku groźnie

wyglądających osiłków. Codziennie objeżdża kampanie i zbiera okup za załatwioną pracę. Jeśli ktoś zalega z opłatą dostaje lanie. Trudno w takiej sytuacji dziwić się, że Polacy boją się zwrócić na policję. Widzą, że karabinierzy nie interweniują, przemykają oczy. Nasi rodacy pytani: dlaczego ich zdaniem tak się dzieje - odpowiadają ze strachem. Twierdzą, że woleliby się mylić. Przypuszczają, że policji po prostu na rękę jest nie interweniować. Czy taka jest przerażająca prawda? Poza tym boją się, że jeśli się wyda, że pracowali na czarno, zostaną w stosunku do nich wyciągnięte konsekwencje. Winni będą ukarani. Policjanci z Questura di Foggia zachęcają, by Polacy informowali onieuczciwych pośrednikach. Ostrzegają jednocześnie, że ci poszkodowani, którzy nie mają pozwolenia na pracę i pieniędzy na utrzymanie, będą musieli wrócić do kraju. Zapewniają, że w tym pomoże im polski konsulat w Rzymie.



Niewolnicy

Przebywając we Włoszech słyszy się czasem historie mrozące krew w żyłach. Jedna z polskich gazet podała kiedyś informację, że w Neapolu corocznie policja znajduje kilkadziesiąt ciał cudzoziemców, których trudno ustalić tożsamość. Przypuszcza się, że wielu z nich to Polacy.

Bywa czasem, że znana jest tożsamość zmarłego Polaka, lecz rodziny nie stać na sprowadzenie jego zwłok do kraju. Tak było z Januszem, trzydziestoletnim mężczyzną, który przyjechał do Włoch, by zarobić na podupadające gospodarstwo rolne, gdyż rodzice z trudem wiązali koniec z końcem. Pamiętam Janusza jako silnego, zdrowego mężczyznę, który pracował u włoskiego plantatora w polu, a po powrocie wieczorem do domu, mimo zmęczenia udawał się wieczorem do obory, by nakarmić zwierzęta, wyczyścić konia itp. Za tę dodatkową pracę nie dostawał zapłaty. Janusz ufał swojemu pracodawcy, bo powierzał mu wszystkie zarobione pieniądze zamierzając odebrać je przed powrotem do kraju. Jednak tak się nie stało.,,

Rok później spotkałam znajomych Janusza, którzy opowiedzieli mi o jego nagłej śmierci w polu podczas pracy. Wezwano nawet karetkę pogotowia, ale lekarzom nie udało się go ocalić. Mimo, iż zdarzenie miało miejsce kilka miesięcy temu, jego ciało nadal znajdowało się w kostnicy w Foggii, gdyż biednych rodziców nie stać było na sprowadzenie zwłok syna do Polski. Pracodawca, u którego zapewne wciąż znajdowały się pieniądze zarobione przez Janusza, nie poczuwał się do pomocy jego rodzinie.

Jak łatwo narazić się na niebezpieczeństwo we Włoszech, do tego stopnia, że rodzina może stracić kontakt z nami, przekonałam się któregoś dnia.

O „obozach pracy” docierały informacje do Polaków pracujących na południu Włoch, informacje o nich dotarły też do karabinierów, którzy jednak nie potraktowali problemu poważnie, tłumacząc później w prasie włoskiej, że w sprawdzonym obozie wszyscy Polacy posiadali przy sobie paszporty, więc pracowali z własnej woli i bez przymusu. Jednak jak potężną władzą są ciągle mass-media dowiodły artykuły zamieszczone w „La gazzetta del mezzogiorno” latem 2005 roku.

W artykule „Traktowanie polskich niewolników” autor opisuje drogę Polaków szukających zarobku w słonecznej Italii: „Wszystko zaczyna się z ogłoszeniem w polskiej gazecie, później jest pośrednik, w końcu podróż do Włoch autobusem lub prywatnym busem z nadzieją pracy. Ale obietnice i marzenia stają się szybko koszmarem...”. Dalej „La gazzetta...” cytuje list jaki nadesłali krewni osób przetrzymywanych w „obozie” do polskich władz konsularnych:

„ To jest Kalwaria. Ratujcie nasze dzieci”

„ Prosimy o pomoc dla naszych kuzynów, którzy znajdują się obecnie we Włoszech, dokładnie w Orta Nova, na plantacji pomidorów. 6 sierpnia 2005 roku przyjechali tam busem, lecz na miejscu okazało się, że warunki zawarte w kontrakcie przed przyjazdem różnią się od tych, w jakich obecnie się znajdują (...). Najgorszą rzeczą jest sposób traktowania Polaków, którzy nie mają czasu, aby zjeść, są więzieni do pracy wcześniej rano z groźbą bicia, w polu bez jedzenia zostają aż do godz. 21-ej. W tym czasie inne osoby sprawdzają ich rzeczy osobiste. Zostali okradzeni z pieniędzy i innych rzeczy. Kiedyś przyjechał inny bus z Polski z grupą osób, lecz nasi krewni nie otrzymali pozwolenia na powrót. Teraz pracują gratis, nie mają nic do jedzenia, ani

miejsca, gdzie mogliby się umyć, śpią w tragicznych warunkach. Organizatorzy nie chcą dać im busa, by mogli wrócić do Polski (...).

Po tej publikacji zawrzało. Problem „obozów pracy” i wykorzystywania Polaków został wreszcie dostrzeżony. Jak doniosła „La gazzetta...” - Urząd Konsularny dyplomacji polskiej w Rzymie w liście wysłanym do konsula Pugli napisał, że jest to prawdziwa „droga krzyża”, którą przeszło wielu obywateli polskich i wysłał reprezentację, by interweniowała u władz lokalnych.

W tym samym czasie kilku uciekinierów z „obozu” zgłosiło się do karabinierów w Foggi, by opowiedzieć o przeżytych koszmarze. Reakcja była natychmiastowa. 80 karabinierów z dwoma psami przyjechało do „obozu” w Orta Nova. Na ogrodzonym terenie przebywało 90 Polaków i 15 Słowaków. Mieszkańcy obozowiska podczas przesłuchania opowiedzieli o pobycie w tym - jak go określali - łagrze. Od świtu do zmroku pracowali w polu bez przerwy na posiłek. Zresztą jedzenia też zaczynało brakować, bo zapasy przywiezione z Polski skończyły się, a Polacy kierujący obozem nie chcieli im płacić, tłumacząc, że zarobione pieniądze służą pokryciu kosztów ich pobytu, mimo, że za przyjazd zapłacili po 200 euro, za miejsce we własnym namiocie 70 euro miesięcznie, a za łóżko w murowanym budynku - 150 euro. Do dyspozycji ponad 100 osób były zaledwie 2 łazienki. Zastraszeni i głodni tracili nadzieję na pomoc, bo każda próba opuszczenia „obozu” kończyła się biciem.

Jednak kilku osobom udało się uciec i wezwać pomoc. Polacy kierujący „obozem” zostali zatrzymani. A w jednym z wydań „La gazzetta...” znów podano informację, że w kostnicy w Foggi leży niezidentyfikowane ciało młodego Polaka...

Karabinierzy nie tacy straszni

Osoby wyjeżdżające do pracy na włoskich plantacjach obawiają się, że praca na czarno wiąże się z ryzykiem kontroli ze strony karabinierów. Dalej maluje się czarny scenariusz związany z deportacją, ukaraniem itp. Jednak rzeczywistość jest nieco inna...

Domenico jest jednym z większych plantatorów na południu Wioch. W kilkusethektarowym gospodarstwie uprawia pomidory zboże, szparagi, kalafiora oraz winogrona, które po zbiorze trafiają do jego fabryk. Mimo, że gospodarstwo jest nowoczesne i wyposażone w maszyny świetnie zastępujące ludzi (np. specjalne kombajny do zbioru pomidorów), to plantator zatrudnia około 30 osób. Przeważają Polacy, Macedończycy, Ukraińcy oraz kilku Włochów. Obcokrajowcy mieszkają w przyczepach kempingowych dobrze ukrytych wśród szklarni i maszyn. Obozowisko jest praktycznie niewidoczne z pobliskiej drogi i nie rzuca się w oczy. Jednak karabinierzy - podobnie jak i inne służby porządkowe - dobrze wiedzą, gdzie mieszkają i pracują Polacy. Trudno bowiem nie dostrzec na polu grupy kilkudziesięciu osób podążających miarowo do przodu z wielkimi sakwami u boku i nożami w rękach (zbieracze szparagów). W oczy rzucają się także pochylone sylwetki osób ścinających kwiaty pomidorów. Z pracowników zatrudnionych na kampanii Domenica dokumenty uprawniające do legalnej pracy mają tylko Włosi oraz czterech. Macedończyków i dwóch Ukraińców. Pozostali pracują na czarno. Po wydarzeniach w Orta

Nova latem tego roku, kiedy to włoska prasa ujawniła w jakich koszmarnych warunkach mieszkają i pracują niektórzy Polacy, karabinierzy zainteresowali się losami naszych rodaków także w innych miejscowościach. Któregoś dnia Domenico oznajmił, że nazajutrz na pole leżące u podnóża malowniczego wzgórza przyjadą karabinierzy. pracodawca skompletował ekipy z podziałem na tych z zezwoleniami i pracujących nielegalnie. Pierwszych skierował na pole, gdzie spodziewał się karabinierów, drugich w inne „bezpieczne” miejsce, istotnie, nazajutrz na tle błękitnego nieba ukazał się helikopter błyszcząc w słońcu nad Domenicowym polem, a nieco później pod wzgórze przyjechali mundurowi. Sytuacja powtarzała się kilkakrotnie. Dziwnym zrzędzeniem losu zawsze było wiadomo, gdzie spodziewać się służb porządkowych. Na innych kampaniach było podobnie. Czasem jednak zdarzało się, że Polacy wpadali w ręce karabinierów w trakcie pracy. Po przesłuchaniu i spisaniu danych, byli pouczeni, że nie wolno im pracować bez zezwolenia. I w zasadzie na tym sprawa kończyła się, a Polacy wracali do pracy. Z konsekwencjami musiał się jednak liczyć pracodawca, który płacił karę za nielegalne zatrudnianie pracowników. Po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej Włosi z przyzwyczajeniem oka traktują naszych rodaków pracujących nielegalnie na kampaniach. Ma to dobre i złe strony. Brak zainteresowania losem Polaków powoduje, że nieuczciwi polscy pośrednicy czują się bezkarnie i żerują na ich pracy, a warunki zawarte w ogłoszeniach prasowych nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Wzmoczone kontrole karabinierów z pewnością wpłynęły także na poprawę warunków mieszkaniowych Polaków, a niektórzy pracodawcy wreszcie zaczynają dostrzegać takie potrzeby naszych rodaków, takie dostęp do wody czy energii elektrycznej

Mieszkańcy „miotów” (la roulotte - przyczepa kempingowa) na Domenicowej kampanii nie mogą narzekać.

Mają do dyspozycji łazienki, ubikacje i kilka umywalek, a przede wszystkim pracodawcę, który okazuje się być „jasnowidzem” i zapobiega spotkaniom z karabinierami.



Moja „szefowa” Maria

Błękitna tafla wody Morza Adriatyckiego to znikąca za wzniesieniami zielonych wzgórz, to pojawiała się nagle skrząc się złotem w słońcu. Z prawej strony towarzyszyły mi od kilku godzin garbate szczyty gór. Stopniowo zmieniał się krajobraz, morze skryło się za Półwyspem Gargano, a w oddali pojawiły się zabudowania Foggi.

Gorąca fala powietrza wdzierła się do samochodu. Z autostrady droga wiodła przez równinę, a niekończące się obszary upraw nie przypominały polskiej szachownicy pól. Nagle dostrzegłam samotnie stojący budynek - cel mojej podróży. W drzwiach pojawiła się czterdziestokilkuletnia kobieta. - Witam w pięciogwiazdkowym hotelu - powiedziała.

Na południu Włoch na terenach wiejskich znajduje się wiele opuszczonych domów. Ich mieszkańcy kilkadziesiąt lat temu, w okresie rozwoju gospodarczego, przeprowadzili się do miast. Niektóre z nich są zadbane, ładne. Widać, że właściciele często do nich zaglądają. Inne - zniszczone, często bez drzwi i okien. W tych drugich nierzadko zamieszkują Polacy pracujący u włoskich plantatorów. W grupach naszych rodaków, lokatorów budynków, tworzy się swoista hierarchia ważności - im dłużej ktoś mieszka, tym ma więcej do powiedzenia.

Widać, że kobieta, która mnie powitała czuła się tu prawdziwym capo czyli szefem. Wkrótce wrócili z pracy moi znajomi. Teresa, która mieszkała tu już od miesiąca, ostrzegła mnie przed Marią: - Uważaj, zaraz będzie

próbowała cię przekonać, że jest twoją szefową i musisz być jej posłuszna. - Miała rację. Maria przez cały wieczór podkreślała swoją pozycję w tym domu. - Wszystkie meble, przedmioty jakie tu widzisz ja kupiłam - trajkotała jak najęta. - Jestem tu osiem miesięcy i wszyscy traktują mnie jak Caritas. Bo pomagam każdemu, kto przychodzi pod mój dach.

Ci, którym przyszło mieszkać z Marią byli innego zdania. - Przyjechałem tu miesiąc temu - opowiadał Tadeusz - Mimo, że przyjazd umożliwił mi jeden ze stałych pracowników naszego pracodawcy, to Maria uprzedziła mnie, że jeśli nie zapłacę jej 150 euro, to mogę długo czekać na pracę lub wcale jej nie dostać. Nie znałem języka, więc nie wiedziałem kto tu tak naprawdę rządzi. Ona tak utrudniała mi życie, że nawet chciałem wrócić już do kraju. Jednak nie zapłaciłem jej, a pracę i tak dostałem.

O wątpliwej dobroci mojej „szefowej” przekonałam się już następnego dnia. Od rana pogoda była „w kratkę”. Świeciło słońce, to znów padał krótki, ale rzęsy deszcz. Nie zważając na kaprysy włoskiej aury należało pójść w pole i ścinać szparagi. Nie byłam przygotowana na deszcz, ale opiekuńcza Maria natychmiast przyszła z pomocą. - Proszę, ubierz ten płaszcz przeciwdeszczowy, jest mój i ... prawie nowy - zachwalała. - Za 10 euro naprawdę opłaca ci się go kupić.

Nasza „szefowa” miała wszystko w swoim szczelnie zamkniętym pokoju - od butów we wszystkich rozmiarach, po naczynia kuchenne, lekarstwa i inne drobiazgi. Skąd to wszystko? Polacy, którzy mieszkali w tym domu wracając do kraju zostawiali niepotrzebne rzeczy. Dla Marii wszystko miało wartość. Dziurawe gumowce sprzedała Andrzejowi za 10 euro, kubek do herbaty - 2 euro, itd. Podobnie pozbywała się innych przedmiotów. Sprzedawanie cudzych rzeczy było jednym ze źródeł jej dochodów, ale nie najważniejszym. Znacznie większy dopływ gotówki zapewniało jej ściąganie ludzi do pracy z Polski. Co ciekawe,

bez uzgadniania z naszym pracodawcą. Czasem udawało się jej załatwić komuś pracę, częściej po zainkasowaniu 150 euro wywoziła niedoszłych pracowników. Dokąd? Nie wiadomo. Marię dosięgła kiedyś sprawiedliwość. Złamała rękę. Podobno pomógł jej w tym ktoś z oszukanych rodaków. - Mieszkała sama - opowiadał Tadek - Ale i tak sobie poradziła. Ściągnęła z Polski kobietę, której miała załatwić pracę, jednak wciąż zwlekała ze zrealizowaniem obietnicy. Trzymała ją tu, by wykorzystać jako pomoc. Oczywiście nie dając jej w zamian ani grosza. Kiedy ręka się jej zgoiła kazała się tamtej wynosić.

Właściciel gospodarstwa także nie miał zbyt dużego pożytku z naszej „szefowej”. Ścinaliśmy szparagi na kilku polach. Zbiór odbywał się mechanicznie, na specjalnie przystosowanych do tego celu wózkach lub ręcznie - na akord. Maria z przywiązaną do boku torbą podążała za innymi. Praca nie szła jej dobrze. Gorąco, torba ciążyła u boku, więc posuwała się wolno wypalając papierosa za papierosem. Pięć, sześć skrzyneczek ściętych szparagów dziennie, to szczyt jej możliwości. Jednak nasza capo nie chciała być gorsza od innych. Wykorzystując nieuwagę kolegów podbierała z ich skrzynek warzywa i dorzucała do swoich.

Nasz pracodawca wiedział o sposobach jakich Maria używa, by sobie dorobić do wypłaty. Toteż wszystkich nowych pracowników ostrzegał przed jej zaborczością. Ją też upominał. - Nie zdarzyło mi się nikogo wyrzucić z mojej kampanii, ale to co robisz zadziwia mnie - mówił. - Mieszkali tu różni: Ukraińcy, Rumunii, ale pierwszy raz spotykam się z taką zachłannością.

Któregoś dnia przyjechało do naszego domu młode małżeństwo z Polski. Wcześniej przeczytali ofertę pracy we Włoszech, którą Maria zamieściła w jednej z gazet. Wpłacili pieniądze na jej konto i chętni do pracy stanęli przed „szefową”. Ta rozłożyła ręce. - Oferta jest już nieaktualna, spóźniliście się o jeden dzień - zakomunikowała

na wstępie. Młodzi nie mając pieniędzy na powrót do kraju poprosili właściciela pola o umożliwienie pracy. Niestety, wszystkie miejsca były zajęte.

Nasz pracodawca podobno opłacił im podróż powrót ną do kraju, ale Marii kazał natychmiast opuścić jego posiadłość. - Spalę ten dom wraz ze wszystkimi przedmiotami, które tu zgromadziłam - odgrażała się. - Co za niewdzięczność!

Wykorzystując nieobecność współlokato rów, bez słowa pożegnania „szefowa” opuściła nas zabierając co cenniejsze przedmioty. - Co za ulga - odetchnęli wszyscy. - Miejmy nadzieję, że ona już nigdy tu nie wróci. Maria nie wróciła, ale kilka miesięcy później przyjechali karabinierzy szukając naszej rodaczki. Podobno na innej campanii udało się jej oszukać przynajmniej kilku rodaków na spore pieniądze. Wizyta stróżów porządku chyba nie wróżyła dla niej nic dobrego...



U grobu Ojca Pio

Polacy, których los przywiódł na południe Włoch za rzecz niemal obowiązkową uważają przyjazd do San Giovanni Rotondo. Przyjeżdżają do miasteczka wysoko położonego w górach, by podobnie jak miliony turystów z całego świata pomodlić się przy grobie św. Ojca Pio. Jednak dla osób poszukujących pracy lub pragnących zmienić pracodawcę nie tylko modlitwa i uczestnictwo w mszy św. jest powodem przyjazdu do Sanktuarium, ale nadzieja, że spotkają tu rodaków, którzy przyjdą im z pomocą. Przyjeżdżają tu wszyscy, pracownicy i bezrobotni, wierni i niewierni, prostytutki i złodzieje. To święte, ale i magiczne miejsce.





Wczesnym rankiem wyruszyłam z Foggii do 5an Giovanni Rotondo. Pasażerami autobusu byli nie tylko mieszkańcy różnych państw, ale sądząc po kolorze skóry także kontynentów. Po upływie kilkudziesięciu minut autobus zjechał z autostrady, by rozpocząć wspinaczkę po zboczu góry. Podziwiałam umiejętności kierowców w mijaniu się na zakrętach po wąskiej i skróconej jak serpentyna drodze. Całe zbocze góry porośnięte było drzewami oliwnymi, nawet na stromych, nagich skałach rosły skarłowaciałe drzewka wydające co roku plon, a tarasy przecinające w poprzek zbocze umożliwiały zbiór owoców, które przetwarzano na niezwykle cenioną w tym regionie oliwę. Spojrzałam w dół, gdzie roztaczał się cudowny widok na Adriatyk, lazurowe morze zlewało się z błękitem nieba sprawiając, że linia horyzontu była niemal niewidoczna, a promienie słońca posrebrzały grzbieity fal. Wspaniały, cudowny widok emanujący spokojem.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, po którym kilkadziesiąt lat temu stąpił Ojciec Pio skrywając stygmaty na dło-

niach. Dziedziniec przed Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej wypełniał tłum pielgrzymów, przed wejściem do pomieszczeń, gdzie Ojciec Pio mieszkał i pełnił swą kapłańską posługę ustawiła się długa kolejka. Pielgrzymi zbyt skąpo odziani narzucali na nagie ramiona białą cieniutką tkaninę, którą podawała kobieta stojąca przy drzwiach. Wejście w spodenkach lub spódniczce mini nie było możliwe.

Kiedy w 2004 roku wybudowano Nowy Kościół i przeniesiono do niego relikwie św. Ojca Pio na terenie Sanktuarium zrobiło się nieco luźniej, a pielgrzymi nie musieli oczekiwać godzinami, by zobaczyć miejsca związane z Ojcem Pio lub uczestniczyć w mszy św. stojąc przed świątynią w piekącym słońcu lub strugach deszczu. Świątynia ma imponujące rozmiary. Zaprojektował ją światowej sławy architekt Renzo Piano i jest drugi pod względem wielkości po Bazylice św. Piotra w Rzymie. Trzy poziomowa świątynia ma 8 tysięcy miejsc siedzących nie licząc kaplic, sal zjazdowych itp. Budowla jest niezwykła, prosta ze względu na użyty materiał: kamień i drewno, sprawia wrażenie spokoju i naturalnej ciszy zakutej w kamienne bloki. Przed kościołem wznosi się krzyż o wysokości 40 m., który jak wielka latarnia wskazuje drogę pielgrzymom, a obok krzyża znajduje się osiem dzwonów, a każdy z nich z inną nutą muzyczną, bo poświęconą innemu świętemu.



Mercato

Dni na kampanii płynęły monotonnie, pracowaliśmy codziennie, także w niedzielę. Zależnie od pory roku pracowaliśmy w polu lub w szklarniach. Organizacją pracy zajmował się Orazio, który przyjeżdżał codziennie o godzinie 9,30 rano i przydzielał nas do określonych zadań. Zdarzało się, że ktoś z nas potrzebował wziąć wolny dzień, wtedy trzeba było powiadomić o tym odpowiednio wcześniej naszego „capo” i jeśli nasza nieobecność nie psuta organizacji pracy Orazio zwykle dawał „wolne”. Jednak przypadki nieobecności w pracy musiały być dobrze umotywowane i nie mogły zdarzać się zbyt często. Takim wolnym dniem, do którego każdy z nas miał prawo przynajmniej raz w miesiącu było mercato czyli ogromny targ.

Mercato było wydarzeniem bardzo wyczekiwany, bo nie tylko dawało możliwość oderwania się od pracy, ale przede wszystkim można było zrobić porządne zakupy za parę euro. Oczywiście wszyscy Polacy pierwsze kroki kierowali na targ staroci. Tu dopiero był raj dla miłośników kupowania odzieży używanej, ale w dobrym stanie, w dodatku za niewielkie pieniądze, np. za 1 euro można było wypatrzeć firmowe adidas czy coś z odzieży. Niektórzy sprzedawcy proponowali ubrania czy obuwie nawet za 50 centów i wrzeszcząc zachęcali do kupowania.

Jeszcze głośniej było na targu z żywnością, tu każdy zachwala swój towar: świeżutką rugolę czy tłusciutkie i oczywiście żywe ślimaki. A może ktoś miałby ochotę na smakowite kraby czy małże? Wybór warzyw i owoców,

także tych morskich był ogromny. Jednak nasi rodacy rzadko zaglądali na targ z żywnością, bo owoce morza wciąż budzą w nas obrzydzenie, a większość warzyw jest nam nie znana i nie wiadomo jak ją przygotować do zjedzenia. Toteż po uczcie na targu staroci udawaliśmy się do tanich supermarketów, by kupić to co zawsze: parówki, pastę pomidorową, makaron, fasolę w puszcze i żółty ser w plastrach. We włoskich sklepach Polaków można poznać po zawartości koszyka, bo najczęściej kupują wymienione produkty

Kurz, myszy i zgniłe pomidory

Kiedy Domenico poprosił mnie przed wyjazdem do Polski, abym wróciła na zbiór pomidorów twardo powiedziałam: nie! Wiedziałam już jak ciężko zbiera się ręcznie pomidory, słyszałam też wiele opowieści o mechanicznym zbiorze tych warzyw; o kurzu, skaczących po taśmie myszach i pryskających na twarz zgniłych pomidorach.

Chętnych do pracy na kombajnie do zbioru pomidorów nie brakowało, toteż kiedy wróciłam na kampanię na początku sierpnia, nie obawiałam się, że zostanę przydzielona do ekipy obsługującej tego stalowego ryczącego potwora. Miałam nadzieję, że może na którymś z pól wyrosły chwasty, więc o porankach, kiedy powietrze jest rześkie lub późnymi popołudniami, kiedy żar ustępuje chłodniejszemu powiewom wiatru, będę je usuwać. A może dojrzały już winogrona i w cieniu krzewów będę napełniać kosze soczystymi owocami, a zewsząd będzie towarzyszył mi śpiew ptaków? Niestety winogrona były jeszcze niedojrzałe, a Domenico był dobrym gospodarzem i w porę zapobiegł zachwaszczeniu pól. Nie miałam wyboru. Wyposażona w kilka tuzinów cienkich rękawiczek, okulary przeciwsłoneczne i wate do uszu wyruszyłam w pole.

Moje obawy potwierdziły się. Praca na kombajnie była koszmarem. Maszyna, na której miałam spędzić najbliższy miesiąc przypominała wyglądem i wielkością dobrze nam znany kombajn do zbioru zboża, z lewej strony znajdowała się ruchoma taśma, na którą w szybkim tempie spadały kaskady pomidorów, kamieni, grudek ziemi oraz różnych

stworzeń żywych i martwych. Ta zawartość zostawała poddawana pierwszej selekcji na taśmie z metalowymi prętami. Jednak ten pierwszy etap rzadko spełniał swoje zadanie, ponieważ wilgotna ziemia zalepiała otwory między prętami i trzeba było ręcznie usuwać to, co nie było pomidorem - To stanowisko pracy przypadło mnie! Dalej dzięki zainstalowanemu komputerowi metalowe klapki odrzucały zielone pomidory, a te czerwone, dojrzałe trafiały na dalszy ciąg taśmy obsługiwany przez 2-3 kobiety. To, czego ja nie zdążyłam usunąć lub nie rozpoznałam w porę komputer - usuwały ręcznie kobiety.

Na upał nie narzekałyśmy, bo przed słońcem chronił nas daszek, ale najgorszy był kurz, który wdierał się do nosa, ust nawet przez szczelnie zawiązaną chustkę na twarzy. Okulary trochę chroniły przed kurzem i bryzgającymi zgniłymi pomidorami, ale trzeba było je często przecierać. Dla mnie najgorszy był hałas. Na maszynie była informacja nakazująca zabezpieczenie narządów słuchu przed nadmiarem decybeli, ale tylko ja wzięłam sobie ją do serca, zatkanie uszu przyniosło znaczną ulgę. Pozostałe kobiety zlekceważyły ostrzeżenie, a po kilku dniach skarżyły się, że gorzej słyszą, ale i tak nie zabezpieczyły uszu. A wystarczył nawet kawałek waty, by zapobiec być może trwałemu uszkodzeniu słuchu.

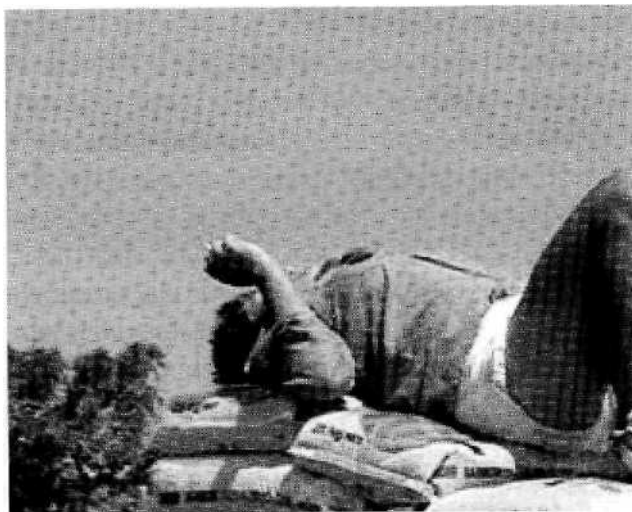
Kolejną dolegliwością były skurcze nóg, od ciągłego stania przy taśmie w pozycji niemal nieruchomej bolały nas nogi, a w nocy ostry ból przeszywał mięśnie.

Dziennie pracowałyśmy 10-12 godz. z godziną przerwą w południe. Co to była za radość zmyć z twarzy grubą warstwę kurzu, wyciągnąć nogi i zrelaksować się słuchając szumu wiatru, śpiewu ptaków - zamiast ryku kombajnu.

Należałam do szczęśliwców, którzy pracowali na kombajnie prowadzonym przez Mateo. Włoch był wyrozumiały, toteż dość często robił nam krótkie przerwy „na papierosa”, a dwukrotnie w ciągu dnia czyściliśmy kombajn z ziemi i badyli. Jednak kobiety, które pracowały na drugim kom-

bajnie z Macedończykiem były na skraju wytrzymałości. Temu kierowcy zależało przede wszystkim, aby wykazać się przed naszym pracodawcą, traktował pracę jak wyścig - kto więcej zbierze pomidorów, toteż nie oszczędzał ani ludzi ani maszyny, a wszelkie prośby kobiet, by zrobił choćby krótką przerwę na oczyszczenie kombajnu, zbywał wulgarnym krzykiem: - Do roboty (...)!

Przetrwałam miesiąc na ryczącym potworze, ale obiecałam sobie: NIGDY WIĘCEJ!



Słoneczny kraj - płomienne wyznania

Liczba polskich kobiet zajmujących się prostytucją we Włoszech w ostatnich latach bardzo wzrosła. Można je spotkać wszędzie. Czasem sprawił to przypadek, ale najczęściej same zdecydowały o swoim losie.

Studentki Beata i Daria wyjechały na zbiór pomidorów na południe Włoch. Ładne brunetki zwracały na siebie uwagę. Ich urodę dostrzegł także właściciel plantacji, który próbował uwieść jedną z sióstr. Dziewczyny nie dały się zwieść płomiennym wyznaniom Migela, lecz on także nie odpuścił.

Kilka dni później na polu w towarzystwie plantatora pojawił się starszy pan po siedemdziesiątce i zaproponował siostrze, by zamiast zbierania pomidorów wykonywały prace porządkowe w jego domu. Te bez namysłu zgodziły się. Praca była istotnie bardzo dobra. Ścieranie po raz kolejny kurzu z mebli zajmowało im 2 - 3 godziny dziennie. Później miały czas wolny, a za każdą taką milę spędzoną „dniówkę” dostawały po 40 euro. Idylla trwała dwa tygodnie.

Któregoś wieczoru właściciel domu przyjechał w towarzystwie drugiego siedemdziesięciolatka. Starsi panowie poprosili dziewczyny o wspólne spędzenie wieczoru. Przy suto zastawionym stole mężczyźni zaproponowali, by siostry zostały na ich utrzymaniu w zamian za... przychylność w pewnych sprawach. Dziewczyny znów odmówiły. Następnego dnia właściciel domu poinformował je, że młodsza ma wrócić na pole plantatora, a starszej zaproponował pracę w hotelu w Foggii w charakterze sprzątaczką na bardzo dobrych warunkach finansowych.

Jeszcze tego samego dnia Beata przekroczyła próg hotelu. Właściciel zaprowadził ją do przytulnego pokoju, wskazał na szafkę i poprosił, by się przebrała i za godzinę była gotowa, po czym wyszedł. Beata oniemiała z przerażenia, kiedy zajrzała do szuflady. Zamiast fartucha do sprzątanego znalazła ekstrawagancką bieliznę. Domyśliła się, w jakim charakterze ma tu pracować. - Nie dając poznać po sobie jakiego dokonałam odkrycia, wyszłam z pokoju, by zorientować się jakie są szanse ucieczki wspomina.

W pomieszczeniach gospodarczych dostrzegła kilka Włosek i Ukrainkę, z którą wcześniej poznał ją właściciel hotelu. - Co to wszystko znaczy - zapytałam ją po polsku. Tamta odpowiedziała: - Powiem ci teraz, ale ty śmiejesz się jak gdybym opowiadała ci coś zabawnego, tak, aby Włoszki nie zorientowały się o czym rozmawiamy.

Opowiedziała mi co to za hotel - Beata do tej pory na tamto wspomnienie nie potrafi zapanować nad drżącym głosem. - Radziła, żebym zaraz stąd uciekła wykorzystując zamieszanie obok recepcji, bo właśnie rozpoczęła się uroczystość weselna w restauracji na parterze. Tak zrobiłam i jestem jej za to wdzięczna.

Takie przygody spotykają wiele kobiet, jednak nie wszystkim udaje się uciec. W ostatnich latach we Włoszech znacznie wzrosła liczba prostytutek. Być może niektóre dziewczyny są przymuszane do uprawiania seksu. Inne robią to dobrowolnie, bo wyjeżdżają z takim zamiarem z Polski lub ulegają południowej urodzie Włochów, a ci sprytnie wykorzystują ich naiwność.

Dziewczynę najłatwiej zwerbować na polu. Praca jest bardzo ciężka, z nieba leje się żar, a we właścicielu pola, który przyniósł butelkę zimnej wody można się prawie... zakochać. Zaproszenie na pizzę, do dyskoteki czy wyznanie miłosne na pierwszym spotkaniu to dla Włocha niewielki wysiłek, lecz wystarczający, by dziewczyny uległy złudzeniu wielkiej miłości. Później droga jest prosta. Seks z pracodawcą i wiara w wielką miłość. Jeśli jest on

nieuczciwy, to Polki nawet nie zauważają, kiedy płomienna miłość przerodzi się w prostytutkę. - Teraz, po powrocie do kraju uważam, że ja i moje koleżanki byłyśmy wystawiane na próbę, która z nas jest łatwiejsza i sprzedaje się - Anna wspomina swój ostatni wyjazd.

Obserwując dziewczyny pracujące u włoskich plantatorów trudno nie zauważyć, że wiele z nich przyjechało, by sobie dorobić. Aśka, która czasem pojawiała się na polu Migela nie ukrywała, że bierze za „numerek” 50 euro. - Mam już na koncie siedem tysięcy, a wyjadę stąd dopiero wtedy, gdy uzbieram 10 tysięcy euro - powiedziała kiedyś. Również Monika nie zaprzeczała, gdy posądzano ją o dodatkowe zarobki. Wciąż otrzymywała tajemnicze telefony, i w równie tajemniczy sposób zniknęła wieczorami na kilka godzin.

Włosi mówią, że Polki można spotkać wszędzie: przy autostradach, gdzie oczekują klientów w dość nietypowej scenerii - przy ogniskach rozpalanych w nocy, w hotelach oraz w mieszkaniach wynajmowanych w celu świadczenia wiadomych usług. Stawki są różne: od 20 euro przy ognisku do 80 euro w mieszkaniu. Wielu włoskich kierowców widząc samotną Polkę proponuje jej seks. Oczywiście za pieniądze. Na południu Włoch należy spodziewać się takich propozycji nie tylko na parkingach, przy autostradach, na poboczach mniejszych dróg, ale także na przystankach autobusowych.

Nasze rodaczki udające się do Włoch mają wybór. Mogą w ciężkich warunkach - ale uczciwie - zarabiać pieniądze pracując np na plantacjach. Bądź też uprawiać najstarszy zawód świata. Wiele kobiet, które zajmują się prostytutką we Włoszech, zwykle tłumaczy się problemami ze znalezieniem pracy. A to zwykle - zwłaszcza w sezonie - nie jest prawdą.



Pochwała życia „na rulotach”

Pracy we Włoszech szukają nie tylko Polacy, ale i inne narody: Ukraińcy, Rumunii, Albańczycy, Macedończycy, Marokańczycy, Czesi, Afrykańczycy itd. Pod względem liczności przeważają nasi rodacy oraz Ukraińcy. Nie wszyscy cudzoziemcy są traktowani przez włoskich pracodawców jednakowo. Najbardziej cenieni są polscy pracownicy za wytrwałość, umiejętność radzenia sobie z problemami technicznymi np. naprawami sprzętu rolniczego. Ukraińcy również dorównują nam wytrwałością, natomiast mieszkańcy Czarnego Łądu są od każdej roboty. Dla Afrykańczyków przeszkody w trakcie pracy nie stanowi żar lejący się z nieba czy inne niewygody związane z pracą wykonywaną ręcznie jak np. usuwanie motyką chwastów na polu pokrytym skorupą wyschniętej ziemi. Niechętnie zatrudniani są Albańczycy, Rumunii czy Marokańczycy. Ci ostatni cieszą się niezbyt pochlebną opinią, być może ze względu na krążące od czasu do czasu opowieści na temat rozbojów z ich udziałem.

Bywa, że cudzoziemcy spotykają się u jednego pracodawcy na kampanii. Konieczność codziennego obcowania ze sobą uwidacznia cechy charakteru, mentalność obywateli różnych państw europejskich, a także Afryki.

Kampania jednego z pracodawców położona jest u podnóża Apenin, obejmuje kilkaset hektarów urodzajnej, dzięki stosowaniu nawozów sztucznych, ziemi. Większą część gruntów Damiano przeznaczył pod budowę szklarni. Co roku po przygotowaniu ziemi wyrastają tu ogromne

metalowe konstrukcje pokryte folią. Kilkadziesiąt „tuneli” otacza park maszynowy oraz basen, w którym przechowywana jest woda na wypadek awarii sieci nawadniającej pola. Bliżej drogi wjazdowej na kampanię znajduje się ogromny plac, na którym trwa budowa kolejnej fabryki wina bogatego Włocha. W samym środku tego gospodarstwa, pośród maszyn, dźwigów i materiałów budowlanych, mieszkają pracownicy Damiana w ciasno przytulonych do siebie przyczepach kempingowych. Około 30-osobowa grupa Polaków, Ukraińców i Macedończyków mieszka i pracuje tu na stałe, bo gospodarstwo Damiana jest zróżnicowane i pracy nie brakuje przez cały rok. Jednak kiedy nadchodzi sezon na zbiór pomidorów czy innych warzyw liczba ta wzrasta kilkakrotnie.

Pierwszy do pracy przyjeżdża Orazio, głośnym klaksonem stawia na nogi zaspanych mieszkańców „rulotów”. W zależności od pory roku pracę zaczyna się tu wcześniej, w porze letniej nawet o 5-tej rano, zanim słońce wzniesie się wysoko i zaleje falą gorącą włoską ziemię. Najpierw Orazio rozmawia z mężczyznami, którzy zajmują się obsługą sprzętu rolniczego, spulchnianiem i nawożeniem ziemi. Kiedy ogromne traktory wyjadą już z podwórka następuje podział obowiązków dla pozostałych osób.

Nasz „capo” najpierw kieruje Zbyszka na budowę fabryki wina. Chyba każdy z pracujących tu mężczyzn cieszyłby się z pracy w ogromnej hali, gdzie panuje niemal chłód, mimo, że na zewnątrz temperatura sięga 35 stopni, ale Zbyszek nie jest zadowolony. W Polsce zostawił żonę i sześcioro dzieci w domu, do którego często zagląda bieda, toteż pragnie za wszelką cenę zarobić tu jak najwięcej euro. Dla niego liczy się każda godzina pracy, a w fabryce musi dostosować się do zespołu pracowników, w którym przeważają Włosi. Tu dniówka wynosi 8 godzin, więc dla Zbyszki to zarobek nie przekraczający 30 euro. Pracowity Polak wolałby nawet cięższą pracę, ale gwarantującą więcej godzin pracy. Jednak nie okazuje niezadowolienia, bo

wie jak każdy zatrudniony u Damiana, że sprzeciw może wywołać niepożądane skutki np. kilkudniowy przymusowy odpoczynek od pracy.

Dwie trzydziestoletnie Ukrainki jak codzien udają się do pracy w szklarniach. One również starają się zacząć pracę jak najwcześniej, bo powietrze bardzo szybko nagrzewa się w osłoniętych folią „tunelach” i w południe temperatura często przekracza nawet 50 stopni. Początek roku to pora sadzenia warzyw: pomidorów, bakłażanów, ogórków, melonów, papryki itd. Do przygotowanego gruntu wzbogaconego ogromną ilością nawozów sztucznych kobiety zręcznie wsuwają sadzonki w otwory znajdujące się w rozciągniętych pasach folii. Później, gdy rośliny podrosną, Wala i Natasza będą przycinać pędy, pielęgnować je ...aż do zbiorów.

Najprzyjemniejszą o tej porze roku pracą w polu jest ścinanie szparagów. Są różne rodzaje tych mało popularnych u nas warzyw i różne sposoby ich zbiorów. Osoby, które pracowały na plantacjach w Niemczech, twierdzą, że zbiór jest bardzo męczący, bo szparagów trzeba szukać w ziemi i z dużą precyzją wycinać niewidoczne łodygi. We Włoszech uprawia się szparagi, których część jadalna znajduje się nad powierzchnią ziemi. Wystarczy odpowiedni nożyk, by wyciąć warzywo o pożądanej długości, tuż nad gruntem. Ścinanie szparagów ręcznie istotnie jest męczące, bo nie dość, że trzeba cały dzień chodzić po zbrylonej ziemi, to jeszcze dźwigać ciężką torbę z uciętymi łodyżkami.

Damiano jednak unowocześnił zbiór szparagów, który odbywa się teraz mechanicznie. Służą do tego celu specjalne wózki przypominające fotele na kółkach, są też łatwe w obsłudze - wystarczy wygodnie usiąść i sterować pedałami pod stopami, a następnie podjeżdżać pod wystające z ziemi szparagi, ucinać te o odpowiedniej długości i układać je w umieszczonych na wózku skrzyneczkach. Kto opanował sztukę zawracania nie może marzyć o lepszej pracy.

Orazio codziennie rano kieruje pięcioosobowy zespół pracujący na wózkach na jedno z pól szparagowych. Towarzyszy nam Migele, pięćdziesięcioletni Włoch, który zbiera z pola przygotowane szparagi i wywozi je do magazynu w San Severo. Odkąd pamiętam, ten szczupły i niezwykle zręczny mężczyzna zawsze szybko uwijał się na polu, miał też ogromne poczucie humoru. Codziennie zasypywał nas dowcipami, a chociaż ich treść nie zawsze była dla nas zrozumiała, bo Migele bardzo się jąkał, to potrafił rozśmieszyć nas do łez. Bardzo lubiliśmy Migela i chociaż lubiliśmy pożartować z jego wady wymowy, to nie robiliśmy tego złośliwie. Zresztą on też kiedy tylko mógł dowcipkował z nas, a to wrzucił komuś za kołnierz jakiś owad, to podstawił nogę. Bardzo sympatyczny mężczyzna i o złotym sercu.

Wiosna to pora sadzenia pomidorów, więc Orazio wyznacza osoby mające obsługiwać sadzarki. Z tej pracy są zadowoleni tylko ci, którym obojętne są warunki pracy, a liczą się tylko jak najdłuższe „dniówki”, bo pomidory sadzi się nawet 12 godzin dziennie.

Dobiegł końca zbiór szparagów, a z każdym dniem robiło goręcej. Nadchodziło kolejne upalne lato. Na polach zieleniły się sadzonki pomidorów, a gdzieś tam na drobnych krzaczkach pojawiały się już kwiaty. Przypomniałam sobie ubiegłoroczny czerwiec, żar lejący się z nieba i tysiące drobnych krzaczków, z których usuwałam zalążki kwiatów. W gorącym włoskim klimacie już kilka tygodni po posadzeniu pomidorów rośliny zakwitły. Aby zapobiec przedwczesnemu owocowaniu i pozwolić, by roślina bardziej rozrosła się należało usunąć z jej środka pędy z kwiatami. Damiano, jeden z większych plantatorów pomidorów na południu Włoch zatrudniał co roku kilkadziesiąt osób do ścinania kwiatów. Tej pracy mogły podołać tylko osoby o zdrowych i mocnych kręgosłupach. Przeciętnie jedna osoba musiała ścinać przynajmniej 2 sektory tj. 1 ha pola. Niełatwo było pracować kilka, a nawet kilkanaście godzin

w pozycji pochylonej, bolały plecy, bolała głowa od ciągłego schylania się w upalny dzień.

Najgorsze były pierwsze trzy dni. Po powrocie wieczorem do domu mięśnie dotkliwie bolały. Niektórzy nie mogąc znieść bólu niemal garściami połykali tabletki przeciwbólowe czy obficie smarowali się maściami. W ciekawy sposób radzili sobie z bólem mięśni i zmęczeniem Murzyni. Kiedy któryś z nich padał jak długi na ziemi, kolega masował jego ciało „spacerując” po leżącym. Gołymi stopami powoli ugniatał jego plecy i pośladki. Te zabiegi chyba okazywały się skuteczne, bo po kilku minutach Afrykańczyk podnosił się żwawo z ziemi.

Do pracy udawaliśmy się dość wcześnie, aby zrobić do południa cały sektor. Około 12-tej schodziliśmy na przerwę niecierpliwie rozglądając się za choćby najmniejszym kawałkiem cienia. Czasami dawało je rosnące samotnie w polu drzewo, przyczepa ciągnika, a niekiedy musieliśmy zadowolić się skrawkiem cienia, jaki dawał słup elektryczny. Jeśli pracowaliśmy na polu położonym blisko kampanii, to nasz „capo” choć niechętnie, to zgadzał się, abyśmy na sjęstę wrócili do kempingów. Jednak w niesamowicie rozgrzanych „miotach” nie sposób było odpocząć. Większość osób szukała schronienia przed słońcem w murowanym budynku, w którym znajdowały się łazienki. Ja preferowałam odpoczynek w cieniu winnic i przy leciutkim wietrze szybko zapadałam w słodki sen, który wkrótce Orazio zakłócał przeraźliwym wołaniem: - „Andiamo!”.

Idziemy. Znów w pole. Znów odliczamy godziny do wieczornego odpoczynku...

Tak więc kończąc zbiór szparagów z żalem rozmyślałam, że wkrótce relaksującą i miłą pracę na wygodnym wózku będę musiała zastąpić męczącym ścinaniem kwiatów pomidorowych.

Nieoczekiwanie stało się inaczej, w naszym składzie personalnym zaszły pewne zmiany. Od kilku lat na kampanii Damiana pracowało 2 pary Ukraińców. Byli dość zżyci

z naszym pracodawcą, a on traktował całą czwórkę wyjątkowo miło, podobno za pewne przyjemności, które im wyświadczały kobiety w godzinach wieczornych na tylnym siedzeniu samochodu. Mężowie kobiet za tolerancję dostali odpowiedzialną i dobrze płatną pracę - nawozili wszystkie pola należące do plantatora. Chociaż Damiano nie żałował pieniędzy na zakup nawozów, to pola usiane były chwastami. Próbując poznać przyczynę zachwaszczenia sprowadził nawet „doktora” - specjalistę w dziedzinie rolnictwa, ale i on nie zdołał dociec skąd bierze się taki urodzaj na chwasty, a chemikalia okazują się nieskuteczne.

Wreszcie prawda wyszła na jaw. Któregoś dnia do Damiana dotarła informacja, że jego pracownik z Ukrainy sprzedaje Włochom środek na chwasty po 50 euro za butelkę, w sklepie jej cena wynosiła dwa razy więcej. Jeszcze tego samego dnia Damiano wyrzucił z kampanii nieuczciwych pracowników oraz ich żony, które pracowały w szklarniach.

Zwolniły się cztery miejsca pracy. Wieczorem w jednym z kempingów odbyła się narada z udziałem Damiana oraz jego najbliższych współpracowników. Mężczyźni wyznaczyli osoby, które miały zająć się nawożeniem pól oraz wybrali zespół kobiet do pracy w szklarniach.

Zbliżała się pora zbiorów warzyw, więc pracy w „tunelach” było więcej. Na dwumetrowych krzakach przymocowanych do rozciągniętych sznurków czerwieniły się kiście „pomidorynek”: małe i słodkie pomidorki deserowe oraz podłużne i lekko kwaśne. W sąsiednich szklarniach znajdowały się gotowe do zbioru zielone pomidory, służące do sporządzania sałatek oraz ogórki, cukinie, bakłażany, duża czerwona papryka i małe, ostre peperoni. Nie brakowało też arbuzów i melonów.

Damiano szczegółowo wyjaśnił nam na czym będzie polegać praca w szklarniach. Przede wszystkim zwrócił uwagę na staranną selekcję, dobrą ocenę jakości i właściwe określanie pierwszej i drugiej klasy warzyw. Zespół,

do którego ja również zostałam przydzielona, miał przejść tygodniowy okres próbny. Pracodawca zapowiedział, że jeśli ktoś nie poradzi sobie z odpowiednim segregowaniem warzyw dostanie inną, gorszą pracę.

Pracę zaczynałyśmy o szóstej. Zanim zdążyłyśmy otworzyć „tunele” na drodze pojawiała się już wysłużona furgonetka Migela w tumanach kurzu. Zobaczywszy nas mężczyzna hamował z piskiem opon i niemal w biegu wyskakiwał z samochodu, jękając się wydawał dyspozycje ile skrzynek poszczególnych warzyw trzeba dziś zebrać, po czym chwycił wiadro i w szalonym tempie napełniał je pomidorami, bo od nich zawsze zaczynałyśmy pracę.

Najprzyjemniejszy był zbiór zielonych pomidorów. Wysokie krzaki dawały cień przed słońcem przedzierającym się przez foliowy dach szklarni. Ponadto w takim gęstym łątku można było ukryć się przed wszystkowiedzącym okiem Damiana lub któregoś z jego przesadnie lojalnych pracowników, którzy czekali tylko na okazję, by donieść mu, że siedzimy zamiast pracować. Nie oszukiwałyśmy naszego pracodawcy, ale od czasu do czasu robiłyśmy sobie krótkie przerwy. Jedyną trudnością było właściwe segregowanie warzyw; pomidory z pierwszej i drugiej klasy wędrowały do małych skrzynek, które Migele przewoził do supermarketu, a te niekształtne lub zanadto dojrzałe energiczny Włoch zawoził do magazynu.

Lubiłyśmy także pracować w szklarniach z ogórkami i cukiniami, a przede wszystkim z małymi pomidorami. Najpierw ścinałyśmy kiście dojrzałych „pomidorynek”, a potem precyzyjnie skracałyśmy łodyżki, usuwałyśmy nie-dojrzałe pomidorki i układałyśmy je w skrzyneczkach.

Zbiór pozostałych warzyw nie należał już do przyjemności. Niesamowicie gorąco było w „tunelu” z papryką, małe krzaczki nie dawały cienia, więc powietrze szybko się nagrzewało, poza tym wydawało się, że ostry zapach papryki wzmacnia poczucie gorąca. W tych trudnych warunkach najlepiej radziła sobie Teresa, pięćdziesięciolet-

nia kobieta, która wytrwale wynosiła ze szklarni zerwaną paprykę w wiaderkach nie skarżąc się na upał. W cieniu szklarni Beata układała dorodną paprykę w skrzynki i chociaż było tu przewiewnie, dziewczyna raz po raz ocierała pot z czoła.

Okolo 11-tej upał stawał się nie do zniesienia, temperatura w szklarniach przekraczała nawet 50 stopni, szybko uzupełnialiśmy skrzynki, wreszcie Migele upewniwszy, że ma tyle warzyw ile hurtownicy zamówili, z piskiem opon odjeżdżał z ładunkiem do sklepów i hurtowni.

Co za ulga! Wreszcie odpoczynek, ale gdzie szukać ochłody? Jak przyjemnie było stanąć w strumieniu zimnej wody, mogłabym przez całą sjęstę chłodzić się pod prysznicem, ale za drzwiami łazienki już ustawiała się kolejka. Większość osób wołała jednak kąpiel w basenie. Ogromny i głęboki zbiornik służył do przechowywania wody na wypadek awarii sieci nawadniającej. Jego dno było w kształcie stożka, a głębokość dochodziła do 10 m. Wprawdzie Damiano kategorycznie zabronił kąpieli w basenie, ale prawie nikt nie przestrzegał tego zakazu. Miłośnikom kąpieli niestraszne były nawet węże, które czasem wpełzały do wody.

Po sjeście znów do pracy, ale już niezbyt przyjemnej. Zbioru melonów chyba nikt nie lubił poza Migelem, który do każdej pracy podchodził entuzjastycznie. Żółte okrągłe warzywa, pokryte drobną siateczką lub gładkie, poprażkowane były znienawidzone przez każdego z nas. Mimo, iż było już popołudnie temperatura w „tunelach” nadal nie spadała poniżej 40 stopni. Niełatwo było przejść 100 metrów, bo tyle wynosiła długość obiektów, w gąszczu kłujących liści, powoli i starannie wyszukiwać dojrzałe melony. Odróżnienie dojrzałych warzyw od tych, które wymagały jeszcze „leżakowania” nie było proste, toteż przez pierwsze dni nasz capo Orazio nie szczędził nam krytycznych uwag.

Mimo skwaru jaki panował w szklarniach musieliśmy pracować w spodniach i koszulach z długimi rękawami z powodu kłujących liści, które kaleczyły skórę przy każ-

dym dotyku. Zwykle nosiliśmy obuwie zakrywające stopy w obawie przed węzami, dla których gęstwina liści była znakomitą kryjówką.

Capo podzielił nas na dwie grupy: tych, którzy ścinali warzywa i tych, którzy znosili je w skrzynkach. W naszym zespole „od melonów” przeważały kobiety, niekiedy pomagało nam 1-2 mężczyzn, toteż noszenie 30-40 kg skrzynki należało zwykle do kobiecych obowiązków. Jakoś na naszym pracodawcy, ani na jego współpracownikach odpowiedzialnych za pracę w szklarniach nie robił wrażenia widok dziewczyny niosącej ciężką skrzynkę melonów. Jednak żadna pracownica nie ośmieliła się protestować, bo równało się to zwolnieniu z pracy.

Zbiór warzyw trwał 2 miesiące - maj i czerwiec. Bywały ciężkie chwile; zastabnięcia z powodu upałów, bóle od noszenia ciężarów mięśnie, ale mimo wszystko praca w szklarniach miała zalety. Przed wszystkim „tunele” znajdowały się blisko kempingów, więc w razie potrzeby można było pójść po zimną wodę z lodówki czy kupić świeże pieczywo od kierowcy, który przywoził je dwa razy w tygodniu prosto z piekarni. Pod dostatkiem mieliśmy też świeżych warzyw na obiad, a soczyste arbuzy znakomicie gasiły pragnienie podczas pracy. Ponadto powrót z pracy „do domu” zajmował nam zaledwie kilka minut, inni pracownicy na dojazd do pracy poświęcali nawet 2-3 godziny.

Kiedy już wszyscy odświeżeni pod ciężkim dniem zasiadaliśmy pod kempingami ciesząc się wieczornym chłodem, spoglądaliśmy na jaśniejące tysiącami światełek miasteczko Rignano Garganico położone na paśmie górskim ponad 1000 m. n.p.m. Czasem dobiegała do nas muzyka lub w mroczne niebo wybuchały wulkany kolorowych światełek - to mieszkańcy świętowali z jakiejś okazji lub po prostu dobrze się bawili.

Wtedy odzywały się w nas pragnienia przeżycia czegoś niezwykłego, chcieliśmy dzielić radość beztroskich

Włochów, by choć na chwilę zapomnieć o tym kim jesteśmy we Włoszech - tanimi pracownikami od najcięższej pracy. Wprawdzie nie mogliśmy uczestniczyć w zabawie na wzgórzu, ale staraliśmy się przynajmniej miło spędzić czas. Dla większości osób oznaczało to jedno: zakup wina „od dziadka”. Siedemdziesięcioletni Włoch posiadał małą plantację winogron nieopodal kampanii Damiana. Obecność Polaków zawsze chętnych do picia sprawiała, że wino domowej roboty sprzedawał zanim zdążyło dojrzeć i osiągnąć walory smakowe i zapachowe. Po zapadnięciu zmroku prawie codziennie ktoś niepostrzeżenie wymykał się z obozowiska, a po chwili wracał z 5-litrowym baniaczkim kwaśnego jak ocet trunku.

Powoli przycichała muzyka na wzgórzu apenińskim, powoli, chwiejnym krokiem rodacy kierowali się do łóżek, by po krótkiej nocy znów powitać upalny dzień.

Mieszkańcy kempingów nie tylko ograniczali się do picia dziadkowego wina, ale od czasu do czasu organizowali imprezy, na których nie brakowało różnych przysmaków i dobrych trunków zakupionych w supermarketach w San Severo. Przygotowaniami do imprezy zajmowała się operatywna i zawsze chętna do zabawy Agata. Po zebraniu składki po 5 euro od każdej osoby kupowała wędliny, ciasta oraz piwo i cytrynowkę. Kielbaski usmażone na skleconym z metalowych prętów grillu smakowicie pachniały, gotowe rolady i torciki ułożone na talerzach zachęcały do spróbowania, a często wznoszony toast czynił atmosferę radosną. Tak bawili się Polacy i Ukraińcy, ale Macedończycy nie dawali zaprosić się do stołu, nigdy nie uczestniczyli w imprezach zakrapianych alkoholem. Również Włosi sporadycznie spożywali alkohol i to w bardzo umiarkowanych ilościach. A Polacy jak zwykle nie byli najlepszym przykładem dla obcokrajowców w zachowaniu umiaru podczas picia alkoholu.



Opiekunki

Widok, który bardzo mnie porusza to matki wyjeżdżające do pracy za granicę i żegnające się na stacjach autobusowych ze swoimi rodzinami. Kobiety opuszczające małe dzieci ukradkiem ocierają łzy, przeżywają rozstania równie dramatycznie jak maluchy, którym trudno zrozumieć sens rozłąki z matką. Do pracy na tzw. domek jeżdżą kobiety w różnym wieku, matki, młode dziewczyny oraz starsze panie pragnące dorobić sobie do emerytury. Rozstania z rodziną są ciężkie, jednak smutek pożegnania to nie koniec zmartwień, bo w trakcie podróży pozostaje nurtujące pytanie: co nas czeka w nowym miejscu pracy? Czy damy sobie radę, czy zaakceptuje nas osoba, którą mamy się zaopiekować? A bywa też, że zmierzając do Włoch zadajemy sobie pytanie: czy ktoś w ogóle odbierze nas ze stacji?

Zdarza się, że kobiety wyczekują przez kilka dni na stacjach benzynowych czy autobusowych z nadzieją, że Włosi przypomną sobie o Polce, którą wcześniej telefonicznie poprosili o przyjazd.

Znacznie częściej kobiety, które nie zostały odebrane z umówionego miejsca we Włoszech zostały po prostu wystawione do wiatru przez polskich pośredników. Podobnie jak w rolnictwie, tak i w pracy „na domku” zdarzają się oszuści pośredniczący w znalezieniu pracy. Inkasują od kobiet po kilkaset euro., po czym ich telefon milknie, a naiwne rodaczki długo czekają na pomoc, bez pieniędzy i jedzenia, aż wreszcie któryś z kierowców busa lituje się i zabiera je

do kraju. Na szczęście takie przypadki nie zdarzają się zbyt często, kobiety pomyślnie docierają do celu, a zarobione pieniądze znakomicie wspomagają budżet rodzinny.

Wysokość zarobków we Włoszech zależy od regionu. Najwięcej zarabia się w północnej części kraju - 800 euro i więcej za miesiąc opieki nad starszą osobą, w tym bezpłatne wyżywienie i noclegi. Najniższe zarobki są na południu i Sycylii, gdzie wynagrodzenie wynosi nawet 400 euro.

Kobiety zwykle wyjeżdżają na trzy miesiące, po czym podmieniają się ze znajomymi, by po upływie kwartału znów wrócić do pracy. Wrażenia doznane w Italii, chwile radości i smutku zapamiętują na całe życie.

Kiedy Renacie nadarzyła się okazja wyjazdu nie zastanawiała się ani chwili. Jedynym żywicielem czteroosobowej rodziny był mąż, pieniędzy nie wystarczało na życie. Wizja zarobienia 2500 euro w ciągu trzech miesięcy była dla kobiety wystarczającym powodem, by bez wahania podjąć decyzję o wyjeździe. Za te pieniądze mogliby tak wiele zrobić: dokończyć ciągle odkładany remont domu, zmienić samochód itp.

Renata z zapalem przygotowała się do podróży. Do torby zapakowała rzeczy osobiste oraz coś, co miało pomóc jej na obczyźnie porozumieć się z Włochami oraz dać poczucie większej pewności siebie: własnoręcznie sporządzoną książeczkę ze słówkami włoskimi, które miały się jej przydać w pracy i dotyczyły nazw przedmiotów w mieszkaniu, czynności oraz produktów spożywczych. W opracowaniu tego specyficznego słowniczka pomogła jej teściowa, która miała za sobą już wiele takich wyjazdów do włoskich rodzin. Renata wzbogaciła książeczkę w najczęściej używane zwroty np. „Jak dojechać na stację?”, „Gdzie znajduje się ulica o nazwie...” itd.

- Tak przygotowana do nowego wyzwania w życiu czułam się pewnie i bezpiecznie. - wyznała Renata - Dzieci

zostawiłam pod dobrą opieką męża i babci i wyruszyłam w podróż mając nadzieję, że czas rozstania z rodziną szybko upłynie. Opiekowałam się osiemdziesięcioletnią kobietą, która cierpiała na chorobę Parkinsona, starszka poruszała się powoli, toteż pomagałam jej ubrać się, umyć itp. Mimo, iż nieustannie uważałam na nią, to któregoś dnia przewróciła się i poważnie zraniła. Wtedy też zrozumiałam jaka na mnie spoczywa odpowiedzialność. Gdybym zostawiła ją samą na parę godzin, kobieta mogłaby nie przeżyć z powodu wykrwawienia się.

Kiedy Renata oswoiła się z nowym otoczeniem i pracą poczuła ogromną tęsknotę za rodziną. - Któregoś wieczoru kiedy moja podopieczna już zasnęła wyszłam na taras i spojrzałam na otaczającą mnie ciemność, gdzieś w oddali migotały światła miasteczka. Poczułam się bardzo samotna, bezradna, miałam wrażenie jakby jakaś siła trzymała mnie z daleka od rodziny. Marzyłam, by wziąć dziecko na ręce i poczuć jego ciepło. Od tego wieczoru stałe odliczałam dni do powrotu. Wreszcie wróciłam, wyremontowałam dom, kupiłam samochód, ale pozostało we mnie uczucie jakby przez te trzy miesiące ktoś pozbawił mnie tego, co najważniejsze - bycia z najbliższymi, z dziećmi, które pewnie czuły to samo.

Dwie siostry: Ewa i Dagmara, które kilka lat spędziły we Włoszech uważają pobyt za wspaniałą przygodę. Dzięki pracy mogły skończyć studia zaoczne, nauczyć się języka, a przede wszystkim zwiedzić Półwysep Apeniński.

- Miałyśmy okazję zobaczyć kilka wspaniałych miast jak: Rzym, Florencję, Wenecję, ale także podziwiać wspaniałe środowisko naturalne. Południe Włoch zrobiło na mnie niesamowite wrażenie, te wspaniałe średnio-wieczne miasteczka z wąskimi uliczkami, wybrzeża morskie z grotami wyrzeźbionymi przez wodę, roślinność, krzewy wiecznie zielone i ozdobione kwiatami - tego nie da się opisać. Jednak najbardziej urzekł mnie Adriatyk, tak błękitny, tak cudowny...

Ewa zachwycona Italią, także miło wspomina swoją pracę: - Opiekowałam się starszym małżeństwem, pracy nie miałam dużo, bo oboje poruszali się dość sprawnie. Do moich obowiązków należało tylko sprzątanie oraz pomoc przy gotowaniu. Raz babcia poprosiła mnie o przygotowanie polskiej potrawy i chociaż zdobycie kiszzonej kapusty granoczyło z cudem to przygotowałam pyszny bigos. Jednak Włochom nie za bardzo przypadł do gustu, za to ja zajadałam się nim przez cały tydzień. Moi podopieczni uwielbiali natomiast placki ziemniaczane, które przygotowywałam przynajmniej raz w tygodniu. Nie miałam tam dużo pracy, ale musiałam uczestniczyć w ich zwyczajach np. w odmawianiu wraz z nimi codziennie i głośno modlitwy Różańcowej. Starszankowie wiedzieli, że studiuje i muszę przygotowywać się do egzaminu, nawet zachęcali mnie do nauki, ale musiałam uczyć się głośno. Babcia lubiła wsłuchiwać się w moje głośne czytanie, a język polski niemal ją usypiał, gdy ściszałam głos zaraz protestowała. Było mi tam dobrze chociaż zawsze pragnęłam jednej rzeczy - pójść do sklepu, mieszkaliśmy 200 m. od morza i po zakupy chodziłam zwykle okrężną drogą wzdłuż plaży, korzystałam z każdej okazji, by choć przez chwilę popatrzeć na Adriatyk, poczuć zapach morskiej wody czy trochę popływać.

Jej siostra Dagmara znalazła we Włoszech coś cenniejszego - miłość swojego życia. Wzięła już ślub z Tizianem i oboje są bardzo szczęśliwi. - Ja również wyjechałam, by zarobić na studia, mieszkanie. Chociaż nie zamierzałam szukać tu partnera życiowego, a nawet byłam uprzedzona do Włochów, bo nie podobało mi się ich krzykliwe zachowanie i polowanie na Polki - to jednak znalazłam tu męża. Tiziano był inny, szanował mnie od początku, dostrzegał we mnie nie tylko jakąś pomoc domową z dalekiego kraju, ale to jaka byłam. Szybko straciłam dla niego głowę.

Gdyby nie wyjazd do Włoch gospodarstwo Małgorzaty nadal tonęłoby w długach. Obydwoje z mężem starali się jak najlepiej gospodarować na 5 hektarach ziemi, hodowla

bydła i trzody chlewnej chociaż przynosiła pewne zyski, to i tak nie wystarczało, by utrzymać gospodarstwo na odpowiednim poziomie i dostosować je do wymogów unijnych. Kiedy ich zadłużenie w bankach i u znajomych sięgnęło kilkudziesięciu złotych Małgorzata podjęła decyzję o wyjeździe do pracy za granicę. Opiekowała się starszym małżeństwem mieszkającym w Mediolanie. Chociaż nie była zachwycona tym jak traktowali ją podopieczni, a zwłaszcza krewni, to postanowiła sobie, że przetrwa wszystko, aby tylko wysłać pieniądze do domu. Udało się jej! Za pierwszy miesiąc otrzymała 700 euro i natychmiast wysłała pieniądze do domu. To wystarczyło, by spłacić najpilniejsze długi. Kolejne miesiące pozwalały na zakup potrzebnych maszyn rolniczych w gospodarstwie, aż wreszcie przyszedł moment, gdy dom zajaśniał z powodu nowych okien i dachu.

Małgorzata po półrocznym pobycie we Włoszech również zmieniła się. Starannie ubrana i uczesana wydawała się być inną osobą. Sama również zauważyła w sobie zmianę. - Mówią, że podróże kształcą, ale jest w tym trochę prawdy. Dzięki pracy za granicą miałam okazję zobaczyć jak żyją inni ludzie, w jakich warunkach mieszkają, sporo też zwiedziłam np. Rzym - spełniło się moje marzenie, by jechać do Ojca Świętego. Teraz chciałabym trochę pozmieniać w moim najbliższym otoczeniu, w domu, w rodzinie, postaram się, aby zapanowała weselsza atmosfera, bo problemy są zawsze, ale trzeba też umieć cieszyć się życiem.-

Małgorzata narazie zamierza zrezygnować z wyjazdów, ale zapowiada, że jeszcze wyjedzie, by zarobić pieniądze na wykształcenie dzieci.

Dla Zofii największym problemem była kuchnia włoska. - Pracowałam na południu Włoch w rodzinie, w której na obiad jadało się niemal codziennie owoce morza. Kiedy pierwszy raz podali mi makaron z małżami w skorupkach - nie mogłam powstrzymać obrzydzenia. W końcu zmusi-

łam się i zjadłam i muszę przyznać, że mi smakowało. Później poznałam smak wielu tych morskich stworzeń. Teraz owoce morza to moje ulubione danie.

Aromaty kuchni włoskiej

Włochy fascynują mnie nie tylko ze względu na wspaniały krajobraz; zielone pagórki, lazurowe morze czy średniowieczne osady, ale przede wszystkim z powodu znakomitej kuchni, naturalnej, bogatej w oliwę z oliwek, sery, wędliny, miód. W każdym jadłospisie znajdują się przystawki antipasti: crostini czyli grzanki czy bruschette (kromki chleba zanurzone w oliwie) z posiekanym pomidorem i bazylią czy serem owczym pecorino. Dania podstawowe to wszechobecne lazanie, spaghetti, gnocchi czy risotto. Deser zwykle stanowią owoce: brzoskwinie, śliwki czy kiwi w likierze. Włoska kuchnia przesycona jest zapachami ziół: bazylii, rozmarynu, tymianku, świeżo posiekaną szalwią dodaje się zwykle do białej fasoli z oliwą, a rugola stanowi znakomity dodatek do spaghetti. Duży wybór tradycyjnych włoskich dań znajdziemy w licznych restauracjach, pizzeriach czy gospodach trattorie.

Każdy ze spędzonych dni w tym atrakcyjnym kraju trzeba obowiązkowo zakończyć kieliszkiem znakomitego wina Chianti w romantycznych enoteca winiarniach przy dźwiękach muzyki.

Lubię też kuchnię włoską ze względu na prostotę, mięso jagnięce smakuje jak mięso jagnięce, bakłażan smakuje jak bakłażan. Prawdziwy smak mięsa czy warzyw bywa jedynie wzbogacony ziołami czy czosnkiem. W kuchni polskiej potrawom zwykle nadaje się smak wszechobecnymi przyprawami warzywnymi czy rosołkami i właściwie wszystko smakuje prawie tak samo, czy to zupa czy jakiegokolwiek inne danie.

We Włoszech nie ma dla mnie nic lepszego niż świeże warzywa z ziołami, które rosną wszędzie. Przygotowując obiad wystarczała mi paczka makaronu i olej. Obok domu dojrzewały czerwone pomidory, znakomite na zupełną pomidorową, dodawałam tylko garść bazylii, dziki majeranek, liście laurowe prosto z drzewa. Pomidory wykorzystywałam też do sałatki z ogórkiem, cebulką, dziką miętą, posiekaną szalwią i melisą miała niepowtarzalny smak. Mięso z rusztu przygotowane według mojej receptury pachniało rozmarynem. Całość obiadu wieńczył talerz marynowanych oliwek i owoce prosto z ogrodu: figi, granaty, kaktusy.

Składniki na kolację też miałam w zasięgu ręki: kromki chleba przypieczone na oliwie z oliwek z pomidorami pokrojonymi w kostkę i posypane posiekaną bazylią. Pycha!

Moje dania wiązały się ściśle z porą roku, z tym co akurat dojrzało w ogrodzie czy polu. Kiedy bakłażany osiągnęły ciemnofioletową barwę kroilałam je w plastry i pocierałam oliwą, posypywałam ziołami i parmigiano, i zapiekałam w piecyku. Znakomite.

Gdy z gąszczu liści zaczynały wychylać się główki karczochów i one natychmiast trafiały na patelnię, wcześniej jednak obierałam je z twardej powłoki i moczyłam chwilę w wodzie z sokiem z cytryny. Upieczone z masłem i starym serem parmigiano smakowały wspaniale.